Nr 51 Warszawa, dnia 6 (18) Grudnia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale ukończymy wychodzące jako dodatek bezpłatny dzieło Dallemagne'a „Człowiek zwyrodniały.“ Ażeby nowym abonentom ułatwić nabycie jego początku, zniżamy cenę pierwszych zeszytów tego dzieła z 2 rs. 10 kop. na 1 rs. Nadto pragnącym posiadać książkowe dodatki z lat poprzednich oraz wydawnictwa nasze, redukujemy ich cenę do 15 stycznia 1898 r. dla prenumeratorów **Prawdy** *podług poniższego wykazu:*

L. H. Morgan: Społeczeństwo pierwotne, 1 rs. 50 k. (zamiast 3 rs.).
K. Lewald: Historya XIX w., 1 rs. 65 k. (zamiast 3 rs. 30 k.).
R. Falckenberg: Historya filozofii nowożytnej, 1 rs. 20 k. (zam. 2 rs. 40 k.).
Huxley - Rosenthal: Zasady fizyologii, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
H. Posnett: Literatura porównawcza, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
L. Wolberg: Psychologia dziecka, 1 rs. (zamiast 2 rs.).
Encyklopedya dla dzieci, 75 k. (zamiast 1 rs. 50 k.).
Na koszta przesyłki dołączyć należy do każdego rubla 15 kop.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego.

Tom I — 1 rs. 50 k., t. II — 1 rs. 20 kop.; wkrótce wyjdzie tom III — 1 rs. 20 k. — bez przesyłki.

POLITYKA.

WIEC KRAKOWSKI.

Słowiańskie narodowości Przedlitawii zaczynają zacieśniać między sobą węzły od dotychczasowych ściślejsze. Opór przeciwko Niemcom, pomimo niewątpliwych błędów i zdrożności prowadzony wytrwale i mężnie, pokazał im w czem leży siła i co przedewszystkiem w sobie mieć potrzeba, aby naokoło siebie zrobić porządek, krępujący samowolę niemiecką, ruch odśrodkowy Niemców. Organy sejmowe tych narodowości: pojedyncze skupienia posłów przez nie wybieranych do Izby deputowanych w Wiedniu, nazywane grupami i klubami, nie mogąc podczas bezterminowego odroczenia posiedzeń okazać swej spoistości w czynie, postanowiły wydać mocodawcom swoim hasło, któreby w gorącej ciągle jeszcze dobie obecnej mogło i powinno stać się wspólnem, i zapomocą kategorycznego programatu utrzymało karność w szeregach pomimo bezczynności Izby i rozproszenia się posłów. D. 10 b. m. trzydziestu ludzi, kierujących sześciu stronnictwami słowiańskiemi i siódmem, trzymającem z niemi, rumuńskiem, wydało oznajmienie wspólnych praw i dążeń, oparte na adresie większości, w początku lata przez p. Wojciecha Dzieduszyckiego zredagowanym, a zupełnie wystarczające dla celu, który sobie wytknięto.

Oznajmienie to, nazwane deklaracyą komisyi parlamentarnej prawicy, uważa ów adres za objaw zasadniczy, drogowskazowy, przewodni. Zgodnie z adresem stronnictwa walkę z Niemcami toczące nie przestaną dopominać się: uznania praw historycznych, historyczno-politycznych, jak je deklaracya nazywa; samorządu wszystkich krajów Przedlitawię składających; skutecznej pracy prawodawczej, popierającej rozwój ekonomiczny i społeczny wszystkich warstw ludności; wreszcie systematycznej, wytrwałej zabiegliwości o doskonalenie obyczajów i szczepienie ducha religijnego. Jak pierwszy punkt wprowadzony był dla Czechów, tak ostatni znowu wyraża szczegółowy nastrój umysłów w grupie t. zw. centrum, tj. stronnictwa, które bezpośrednio niegdyś ulegało kierunkowi Hohenwarta; ani jedno przecież, ani drugie zastrzeżenie nie ma charakteru jednostronności, zdolnej zepsuć zgodę: rdzeń tkwi w punkcie drugim, jako ideał stawiającym samorząd. Punkt trzeci, o rozwoju społecznym, gdyby tylko wszedł w życie, wzmocniłby jeszcze zwartość wprowadzoną przez zasadę narodowości. Jest on niezbędny sam w sobie, a jakkolwiek doniosłość jego osłabia życzenie, wyrażone w punkcie czwartym, niewątpliwie na żądanie stronnictwa katolickiego, ogólna jednak forma postulatu dopuszcza i działalność postępową i tem samem już, że jest, wytrąca Niemcom, hasającym na koniku liberalizmu, broń z ręki.

Taki objaw przekonań i dążeń w imieniu i z pełnomocnictwa kilkunastu milionów ludzi jest wydarzeniem dla życia politycznego Przedlitawii i Austryi nawet całej doniosłym, ale — jak każde słowo w życiu czynnem — czynów wymaga, aby nie zmartwieć. Na czyny poważne, rdzenne, prawodawcze nie czas, gdy sejmu niema i nie wiadomo, kiedy będzie; ale na gorąco, podczas narad nad oznajmieniem posłowie galicyjscy pobudzili współdziałających przedstawicieli do czynu objawowego, do manifestacyi, któraby, stwierdzając spójność i jedność, przemówiła zarazem do mas ludowych i postawiła im ją niejako przed oczy. W tej myśli urządzo-

no wiec krakowski, niesłychanie prędko i łatwo. W niedzielę d. 12 b. m. zjechało pod Wawel dwunastu posłów słowiańskich, stawiło się dwudziestu galicyjskich. Nie tracąc czasu, odrazu z kolei zawieziono gości na wiec i uroczystości powiecowe. Mówiono dorzecznie, co się w Krakowie nie zawsze zdarza; nawet groźny poseł Danielak stał się jednym z gorących mówców zjednoczenia, nawet ks. Stojałowski wybujałością swego *ja* nie zmącił harmonii: przeciwnie, każdy coś dobrego wrzucił do wspólnej skarbonki myśli, żądz i zapewnień; nie było ani fałszywej monety, ani gadulstwa. Można być z tej pierwszej próby — pierwszej w Krakowie i wogóle w Galicyi — zadowolonym. Pomijając stronę anegdotyczną dwudniowego przyjęcia gości słowiańskich, potrzeba streścić uchwały wiecu, wyrażające już wspólną wolę postępowania w pewnym ściśle określonym kierunku.

Uchwały stanowią: 1) żądanie ścisłego przestrzegania praw konstytucyjnych; 2) potrzebę równouprawnienia wszystkich narodowości; 3) uznanie dla tych posłów polskich, którzy trzymali z innymi Słowianami, wmyśl zasad narodowych, a potępienie dla tych, którzy stanęli po stronie wrogów Słowiańszczyzny, Niemców; 4) konieczność utrzymania, bronienia i rozszerzenia spajającej wszystkie ludy konstytucyi; 5) domaganie się dla pojedynczych krajów większej autonomii, wraz z reformą ustaw wyborczych do sejmów krajowych.

Uchwały takie, wydane już przy współdziałaniu wyborców, mają moc programu politycznego i na wypadek nowych wyborów i na wypadek — bo prawdziwie wypadkiem nazwać już to potrzeba—zwołania Izby i odzyskania przez nią zdolności do działań. Wiec właściwie powinienby być dopiero początkiem, dobrym przykładem, zachętą do naśladowania—i nietylko w Galicyi, ale w całej Słowiańszczyznie przedlitawskiej. Niechajby się zaroiło od tych wiecowników, spokojnie, ale z piersią przy piersi wołających o prawa, które hegemonia niemiecka odrazu na wiatr-by puściła, gdyby tylko z obecnego paroksyzmu Austryi Niemcy wyszli zwycięzcami. Niech takie wiece wywrą nacisk i w dole i w górze, wysoko, nawet najwyżej. Niech się organa sejmowe zespolą ze swoimi ludami i wytworzą jedną z nimi istotę, jeden krzyk o prawo zagrożone, prawo odmawiane i nawet o prawo pogwałcone. Gdyby nie przeistoczenie przedstawiennictwa krajów korony austryackiej w Radzie państwa, brutalnie dokonane przez Niemców w r. 1873 — zasada federalizmu, tkwiąca w samych ustawach z grudnia 1867 r. inaczejby dzisiaj stała i w prawie i rzeczywistości. Tę reformę z r. 1873 przedewszystkiem zreformować potrzeba, od tego zacząć. Porozumienie się posłów galicyjskich z czeskimi, gdyby tylko rzetelnem było, obstałoby wszystkiemu. Niemcy wyszczerzą zęby, ale trzeba sobie już raz powiedzieć, że śmiertelna walka z nimi jest koniecznością. Silna wola, silna ręka poradzą — niechaj się tylko znajdą. Gdzie? W wielkim człowieku. Takiego Austrya dziś potrzebuje.

Tydzień polityczny. Zaburzenia w Czechach powtarzają się jeszcze na prowincyi. W Pradze uwięzienia trwają, do tysiąca osób znalazło się już w zamknięciu, a w tym tygodniu nawet znakomitsi obywatele, filistrowie; ale kat nie ma co robić: zapadające wyroki są łagodne. D. 9 b. m. u drzwi teatru niemieckiego, strzeżonego przez wojsko, znaleziono bombę—nie wiadomo, czeską czy niemiecką—pudełko blaszane, napełnione prochem i gwoździami. Napaści uliczne coraz rzadsze, jednak się jeszcze zdarzają. Niemcy myślą o przeniesieniu swego uniwersytetu do Chebu (Eger). W teatrze czeskim jednocześnie z manifestacyą krakowską przyszło do objawu sympatyj słowiańskich, przejętego głównie życzliwością dla Polaków. Władza rozpoczęła dochodzenie. — Na Węgrzech opór Kossutha przeciw projektowi ugody tymczasowej, dotąd jeszcze nie złamany, pozwala przewidywać położenie do przedlitawskiego podobne.

Sprawy austryackie wtargnęły już do sejmu cesarstwa niemieckiego. D. 15 b. m. dwaj posłowie zapytali, jaką moc ma trójprzymierze wobec tego, co się dzieje w Austryi? Jeden z zapytujących wyraził głośno sympatyę dla Niemców. Prezydujący mu nie przerwał. Dopiero sekretarz stanu, p. Bülow, następca Marschalla, uspokoił obawy o przymierze i sejm niemiecki nazwał miejscem niestosownem do zajmowania się sprawami austryackiemi.

Weyler zawitał do Madrytu z miną buńczuczną, jak gdyby już miał stronników i współdziałaczy do bliskiego *pronunciamento*. Królowa wezwała go na posłuchanie. O rozmowie nic jeszcze nie wiadomo. Na Kubie powstańcy doznali porażki. Blanco liczy teraz wszystkiego już tylko 20,000 powstańców.

We Włoszech po dwutygodniowem przesileniu udało się nareszcie Rudiniemu przetworzyć swój gabinet przy przesunięciu go ku lewicy. Zanardelli wszedł jako minister sprawiedliwości. Na miejsce gen. Pelloux, który wywołał był wstrząśnienie, wszedł gen. San-Marzano. Visconti-Venosta, min. spraw zagranicznych, pozostał jako kandydat na przyszłego prezesa; pozostali też wybitniejsi, jak Brin i Luzzatti. Nowa formacya jest zlepkiem.

Cesarz Wilhelm pożegnał w Kielu swego brata, odpływającego do Chin, z któremi spór ciągle jeszcze się jątrzy. Dyplomacya europejska zapewne postara się jeszcze o to, aby Niemcy, jeśli co wziąć mają, wzięli razem ze wszystkimi. Anglia wzmacnia swą flotę na wodach chińskich.

Na Krecie nic: ciepły kożuch z obietnic dyplomacyi. Sułtan ściga młodoturków i zabawia się w wysyłanie eskadr, toczonych przez robactwo.

We Francyi Rochefort królem: w sprawie Dreyfusa puścił w obieg kłamstwo większe od wszystkich, na jakie się dotychczas odważono.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Sprawa wskrzeszenia uniwersytetu w Wilnie.—Braki szkół ludowych. — Opuszczenie i zaniedbanie budynków szkolnych. — Obojętność społeczeństwa. — Położenie moralne nauczycieli. — Cichy bohater.— Gwałciciele. — Reforma śledztwa pierwiastkowego. — Kara cielesna.

Niedawno prasa rosyjska poruszyła sprawę otwarcia uniwersytetu w Wilnie. Różne wypowiedziano zdania, mniej lub więcej namiętne. Jedni wytoczyli działa wielkiego kalibru przeciwko widmom, powstałym z grobów dalekich i bliskich. W obrazach halucynacyjnych spostrzegli oni te widma ucieleśnione, przywrócone do życia, spostrzegli ich dusze harde i czoła chmurne, ogień w źrenicach i płomień w ustach. Inni, mniej skłonni do lęku i przywidzeń, usiłowali tamtych, zatrwożonych, uspokoić, powołali się na potrzebę pochodu za światłem. Między innemi *Mirowyje Otgołoski*

32.

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

ZABOJCY.

Para małżeńska.

„Czy nie wypiłabyś, duszko, herbatki? Jabym ci przyniósł.

— Usiądź, mój kochany, choć na chwilkę. Zmęczony jesteś.

Takie rozmowy słyszę za ścianą przez cały dzień.

Moi gospodarze mieszkania, zesłańcy-katorżnicy, Pieszczykowowie, stanowią bardzo ciekawą parę.

On — Otello. W pewnym rodzaju nawet znakomitość. Bohater opowiadania G. Uspieńskiego p. t. „Sam na sam," przestępca-kat, o którym mówiła cała Rosya.

Dzieło jego — to echo wojny ostatniej. Ofiarą zaś, jak wiele w tym czasie, kobieta zakochana w Turku wziętym do niewoli. On, dawny jej przyjaciel, dobrowolnie, z przyjaźni przyjął na siebie rolę „posłańca miłości." Nosił listy, dopomagał do zbliżenia się. Powoli na tej drodze sami się zbliżyli do siebie i poznali wzajemnie. Pokochał tę, której ułatwiał korzystanie z miłości innego. I ona go pokochała. Turek zapomniany wrócił do stron rodzinnych. Pobrali się, sześć lat przeżyli w zgodzie, szczęśliwie. On był już ojcem czworga dzieci. Ona zaś wkrótce miała go obdarzyć piątem.

Gdy naraz wzbudziła się w nim zazdrość przeszłości.

Ten Turek, gość przelotny jej serca, zapomniany, usunięty, stanął nagle jak mara między nimi.

Myśl o tem, że ona obdarzała swojemi pieszczotami innego,— szarpała, męczyła i paliła jego duszę.

Straszne dręczące podejrzenia budziły się w chorej wyobraźni.

Podejrzenia, że ona kocha „tamtego," że darząc pieszczotami męża, myśli o tamtym; że jego własne dzieci zrodziła myśląc o innym.

Ten straszny patologiczny dramat duszy skończył się okropnem ukaraniem „winnej."

Pieszczykow przywiązał swoją żonę do łóżka i zaćwiczył ją na śmierć nahajką. Sam cierpiał męki i napawał się zarazem jej męczarniami. Katowanie trwało kilka godzin. A ona .. Ona całowała wtedy jego ręce.

Czy tak go kochała, że nawet była gotowa męki przyjąć od niego z wdzięcznością? Czy może o przebaczenie błagała w tych strasznych chwilach; przebaczenia za te katusze moralne, których była mimowolnym świadkiem?..

Pieszczykowa skazano na katorgę dożywotnią; ale dzięki manifestom, zostało mu teraz tylko cztery lata.

Obecna jego żona jest również „wdową z własnej winy."

Proces jej, chociaż nie tak głośny, obiegł w swoim czasie wszystkie gazety.

Była dawniej aktorką. Zabiła swego męża, pułkownika, wspólnie z przyjacielem domu, i ukryła trupa. Morderstwo się wydało, więc zbrodniarkę skazano na długoterminowe ciężkie roboty.

„Szaronicha," jak ją nazywano na katordze, musiała odpierać ataki długo, zanim się jej udało wywalczyć niezależność, uniknąć zwykłego losu wszystkich kobiet, zesłanych do ciężkich robót.

wystąpiły szczerze i gorąco w obronie projektu otwarcia owej wszechnicy: „Pod względem przestrzeni kraj północno-zachodni równa się niejednemu państwu europejskiemu; główne miasto, stolica b. W. Ks. Litewskiego, posiada wspaniałą przeszłość, dzisiaj zaś liczy około 200,000 mieszkańców. Położenie Wilna urocze, klimat wyborny.[1] Niegdyś nosiło ono — i nie bez podstawy — miano Aten polskich. Tu w XV w. istniała akademia, w początkach bieżącego stulecia był uniwersytet polski, lecz pod skrzydłami orła rosyjskiego. Wszechnica ta wydała Polakom ludzi, którymi się szczyci ich nauka i literatura. Po rewolucyi r. 1831 uniwersytet zamknięto i tym czynem złożyliśmy tylko świadectwo naszej niemocy umysłowej. Zniszczyć łatwiej, niż przekształcić. Dla przekształcenia i asymilacyi potrzeba sił umysłowych i moralnych, które nie są tem samem, co papiery kancelaryjne."

Projekt odbudowania uniwersytetu w Wilnie nie jest nowym. Już przed trzydziestu laty poruszono go poważnie, a Tyzenhauz na ten cel zapisał pół miliona rubli. Ale namiętne i usilne zabiegi przeciwko projektowi zdołały go obalić i pogrzebać na długi szereg lat. Obecnie p. Władimirow, autor powyżej cytowanego artykułu, uważa dzisiejszy okres rozwoju za odpowiedni do przedsięwzięcia wielkiego i szczytnego dzieła, które zmazałoby dawne czyny zniszczenia. Zdaniem autora, na potrzeby uniwersytetu należy przeznaczyć pałac generał-gubernatorski, sąsiadujący z biblioteką publiczną i muzeami.

Inne, skromniejsze, lecz szerokie potrzeby światła poruszyła prasa petersburska w ostatnich czasach. Zwróciła ona mianowicie uwagę na to, że światło to nie przenika dostatecznie i należycie do mas wielomilionowych, że środki oświaty początkowej są częstokroć bardzo liche i zaniedbane. Pisma prowincyonalne coraz częściej i usilniej skarżą się na to, że budynki szkolne, jak na urągowisko, świecą swą nędzą, starością, opuszczeniem. W powiecie Atkarskim gub. Saratowskiej grożą zawaleniem się. „Ale niebezpiecznie mówić o tej potrzebie — jak twierdzi *Syn Otiecz.* — gdyż zamiast niezbędnej przebudowy i naprawy, zaczęto zamykać szkoły, tłomacząc takie dziwne rozporządzenia wątłością budynku, niedogodnością itd. Takie traktowanie najpilniejszej potrzeby ludności wymownie świadczy, jak małe w istocie budzi zainteresowanie sprawa oświaty ludowej nawet śród tych ludzi, którzy stoją na czele owych dziedzin. Przed laty trzydziestu pod wpływem nowych podmuchów szkoła wiejska ściągnęła uwagę społeczeństwa. Niesiono w ofierze środki materyalne i siły. Zapał przeminął, uwaga powszechna osłabła i oto budynki szkolne nieopalane, dziurawe przeciekają. Tam zaś, gdzie są opalane, szerzą czad skutkiem pieców popsutych, dziatwa albo ziębnie, albo czadzieje. Nauczyciele i nauczycielki, zależne od osób brutalnych, ciemnych, znoszą upokorzenie i zniewagę; bruździą im i pisarze i wójci. Ci dręczeni pracownicy, obrzydziwszy sobie twardy kawałek chleba, spełniają swoje obowiązki częstokroć ze wstrętem, apatycznie.

Czasem jednak, pomimo tak ciężkich warunków bytu, pomimo pracy nużącej, śród tych rzesz skromnych, niewidocznych, wyrastają cisi bohaterowie, zasługujący na wielki szacunek, uznanie i miłość powszechną. Do takich należał zmarły przed kilku tygodniami w Starodubie, gub. Czernihowskiej, Skabertin. Poświęcił on 25 lat życia nauczaniu dziatwy w szkole wiejskiej; następnie dostał się do miasta, również jako kierownik szkoły ludowej. Był to człowiek, który nie zamykał swojej działalności w ścisłych ramkach, pozostawiających po za sobą wielkie potrzeby ludności. Odmowę przyjęcia kandydata do nauki uważał za zbrodnię. To też nikogo nie pozbył się brakiem miejsca. „Kto się chce uczyć, *musi* mieć miejsce!" Tak mawiał i cudownie rozszerzał ściany szczupłej szkoły; cudownie, bo z zupełnem zaparciem się siebie, z ofiarą własnych największych potrzeb. Oddawał swoje mieszkanie uczącej się dziatwie, a sam wynajmował izbę w chacie poblizkiej. Nadto, żądnym nauki poświęcał swój czas wieczorny i świąteczny, zawsze z prawdziwą miłością dla dziatwy. Nie dość tego; nie zapominał on, jak inni, o zdolniejszych z chwilą skończenia kursu szkoły początkowej. Dzięki jego zabiegom i pracy, wielu chłopców z ludu dostało się do gimnazyów, otrzymało zapomogi od ziemstwa lub miasta i następnie dotarło do uniwersytetów. Są to przeważnie dzieci włościan ubogich, pastuchów, chłopcy nieprawi, którzy byli skazani na ciemnotę, nędzę i poniewierkę. Ile Skabertin czasu poświęcił, ile zużył na prośby i błagania, zanim którego z jego lepszych kandydatów przyjęto najpierw do szkoły miejskiej, następnie do progimnazyum lub gimnazyum, zanim stypendyum udzielono. Ile przesądów i uprzedzeń musiał zwalczyć nietylko ze strony sfer inteligencyi, od której zależały losy chłopców, ale nawet ich rodziców, ktorzy woleliby mieć natychmiastową i namacalną pomoc z tej dziatwy, jako pastuchów, parobków i różnych popychadeł. To też gdy ten „dziwny" człowiek umarł, tłumy ludzi otoczyły jego ciało i odprowadziły na cmentarz. Światli zaś jego wychowańcy, którzy pokończyli uniwersytety lub inne wyższe zakłady naukowe, postanowili uczcić pamięć nieboszczyka stworzeniem stypendyów jego imienia.

Przeglądając sprawy i zjawiska życia, musimy nieraz z wyniosłości, opromienionych słońcem, przechodzić do przepaści, podziemi i kanałów, skupiających męty i nieczystości tego świata, musimy stawać przed ohydą, na której widok skóra cierpnie i krew uderza w skronie. W Niższym Nowogrodzie sąd rozstrzygnął taką ohydną sprawę, „rozpoznawał" zbrodnię ludzi, których dusze wyrzucone po za granice światła i miłości społecznej, zdziczały i do rozbestwienia doszły. W kwietniu r. b. o godz. 8-ej wieczorem żołnierze i jeden starszy podoficer spostrzegłszy młodziutką pannę, spacerującą z nieznanem w pobliżu obozu, rzucili się na nich, ucznia strącili do jaru, a na dziewczynie straszny gwałt spełnili. Była to panna 16-letnia, córka sekretarza gubernialnego. Złoczyńców ukarano surowo: dwu skazano na 10 lat, jednego na 9, jednego na 7, trzech na 6 lat ciężkich robót, jednego wreszcie na osiedlenie w Syberyi.

Sprawiedliwość zrobiła swoje, ale czyn pozostał czynem, nasuwającym smutne rozmyślania. We wszystkich zbiorowiskach życia ludzkiego, stojących nawet na najniższych szczeblach cywilizacyi i kultury, kwitnie donżuanerya, uwodzicielstwo w mniej lub więcej przyzwoitej formie; rozwielmożniło się tak zwane „zaczepianie," które nie pozwala kobietom młodym przechodzić w nocy lub wieczorem ulicą bez opieki męzkiej. Tam, gdzie kobiety to czują swoją godność i umieją jej bronić, tj. odpierać napastników kijem, lub nawet rewolwerem, jak np. w Ameryce — tam napastowanie samców prawie ustało. Gdzie samoobrony niema, kobiety ratują się pomocą swych znajomych, albo uciekają się do policyi i sądów, które dość surowo karzą napastników. Sądy tych zbrodniarzy nie odzwierciedlą, rzucą tylko doraźny postrach na innych. Ale dzika natura ludzka nie zlęknie się niczego i dla jednej chwili rozpasania poświęci siebie na zatracenie, na

---

Roztropna, niegłupia, stała się najpierw przedmiotem pożądania jednego z przedstawicieli inteligencyi sachalińskiej, który wziął ją do siebie na „kucharkę," z nadaniem wszelkich praw i przywilejów, znanych na Sachalinie.

Ale „Szaronicha" odrazu zaprotestowała.

— Albo „kucharką," albo „panią"; ale do połączenia obu tych rzemiosł jest masa amatorek. Ja do ich liczby nie należę.

I protestowała tak głośno, energicznie, stanowczo, że musiano pozostawić ją w spokoju

Następnie poznała się z Piszczykowem. Pokochali się i oto para morderców weszła w związki małżeńskie.

Para morderców... Jak dziwnie brzmi ta nazwa, gdy się mówi o tem miłem, sympatycznem, zharmonizowanem stadle.

Rzekłbyś, iż przeszłość ich jest oszczerstwem.

— To być nie może! Nie może być, żeby ten delikatny małżonek, który dwu wyrazów nie potrafi powiedzieć żonie bez dodania trzeciego, pieszczotliwego — żeby on był oprawcą. Nie może być, żeby te zawsze pracowite uczciwe ręce były zwalane morderstwem męża!

Przylgnęli do siebie, wypłynęli z tego oceanu błota, który się zowie katorgą, wypłynęli i uratowali siebie.

Może stąd pochodzi ta wzruszająca delikatność uczuć.

On jest dozorcą latarni morskiej i pracuje w kancelaryi naczelnika okręgu, stał się tam prawą ręką, zna i wybornie, rzetelnie, pilnie prowadzi wszelkie sprawy.

Jak rzekłem, dobrym jest mężem, zadziwiająco uprzejmym. Energiczna żona trzyma go trochę pod pantoflem.

Niema w nim ani odrobiny dawnego Otella, Otella — oprawcy.

Tylko raz zbudziła się w nim dawna choroba — zazdrość.

Żona jego dotąd wspomina o tym wypadku ze zgrozą.

Wydobył brzytwę, wyostrzył, zamknął się i ogolił swoją ogromną rozłożystą brodę i wąsy.

Strach było spojrzeć na niego.

— Potem wszystkiem nie zbliżaj się teraz do mnie! — oznajmiła mu pani Piszczykowowa.

Długo prosił o przebaczenie i chodził ze skruchą na twarzy. Więcej już nie wyrażał swej zazdrości.

Ona — niema jednej chwili, żeby nie była czemś zajętą. To śledzie soli, to robi na sprzedaż kwiaty sztuczne, pracuje w swoim pięknym, wprost wzorowym ogrodzie, to szyje odzież dla „inteligencyi" korsakowskiej.

Bierze... rubla „za fason."

— Dlaczego tak tanio?—zdziwiłem się—przecież to darmo! Przynajmniej dwa!

Ona na to ze strachem zaczęła machać ręką.

— Co pan mówi? Przecież jemu zostało jeszcze cztery lata katorgi. Przez ten czas mogą z nim zrobić, co się podoba. Na mnie się rozgniewają, a na nim zemszczą. Nie, nie! Co pan mówi?!

Trzeba widzieć, jak mówi o swoim mężu ta kobieta, jak drży jej głos, gdy wspomina, że mu zostało jeszcze cztery lata katorgi...

Ile miłości, trwogi, niepokoju o człowieka kochanego brzmi wtedy w jej głosie.

Poznałem ją jeszcze na parowcu. Wracała z Władywostoku, gdzie jej robiono trudną i niebezpieczną operacyę.

Zaledwie korsakowski statek przewozowy przybił do parowca, gdy na schody okrętowe wbiegł pierwszy mężczyzna, z dużą brodą — jej mąż. Jak gdyby zesztywnieli w objęciach. Stali tak kilka minut.

męki nawet dożywotnio. W takich zbiorowiskach ochrona czci kobiet i szczęścia ich najbliższych powinna być wzmocniona środkami dorywczymi. Najważniejsze, tj. „oswojenie“ i oświecenie dzikich dusz, jest dziełem rozwoju kulturalno-społecznego. Niestety, przyszłość to bardzo, bardzo daleka i zanim się ona zbliży, dużo miejscowości sachalińskich zaludni się gwałcicielami.

Skoro potrąciłem o sąd, nie mogę pominąć jednej znamiennej sprawy, rzucającej pewne światło na obecny system śledztwa pierwiastkowego. W nowoczerkaskim sądzie okręgowym na ławie zasiadło kilku Kałmyków, oskarżonych o sfałszowanie testamentu. Czyn ten nie miał właściwie na celu niczyjej krzywdy, gdyż interesowani fałszerstwo to popełnili *dla siebie*. Otrzymaliby oni spadek inną drogą, ale im się zdawało, że testament uprości procedurę. Była to „zabawka,“ sprawa czysto domowa, wykonana jawnie i zarazem naiwnie wobec mnóstwa ludzi, przyglądających się robocie. Okoliczność ta zmieniła charakter przestępstwa, więc sąd uniewinnił oskarżonych. W rzeczywistości jednak Kałmycy karę odbyli, gdyż przesiedzieli *pół roku* w więzieniu śledczem.

Z powodu tej sprawy zdolny publicysta petersburski, p. Abramow, poświęcił osobny artykuł kwestyi reformy śledztwa pierwiastkowego. Wychodzi on z tego stanowiska, że skutkiem zasadniczych wad owego śledztwa, wielu ludzi niewinnych idzie na wygnanie lub do katorgi. Niedawno przyjęto we Francyi prawo, które przekształciło tego rodzaju śledztwo. Mianowicie każdy aresztowany w ciągu 24 godzin od chwili uwięzienia musi być zbadany przez sędziego śledczego, albo wypuszczony, pod grozą surowej odpowiedzialności prokuratora i naczelnika więzienia. Aresztowany nie może być pozbawiony prawa stosunków z rodziną. Ale co najważniejsza, pociągnięty do odpowiedzialności po pierwszych badaniach może wybrać sobie obrońcę, który jest obecny przy dalszych badanich i w każdej chwili ma prawo wstępu do klienta uwięzionego. P. Abramow, korzystając z obecnego przeglądania ustaw sądowych, radzi, ażeby w Rosyi wprowadzono zmiany na wzór reformy w kodeksie francuskim.

Na polu reform spostrzegamy w ostatnich czasach coraz silniejszą dążność do wyplenienia, że tak powiem, przeżytku barbarzyńskiego — kary cielesnej, która jednakże w wielu miejscowościach, położonych zdala od wszelkiej kultury i cywilizacyi, nie jest przeżytkiem, lecz trwa w pełni jako najskuteczniejszy sposób „umoralniania.“

W r. 1896 na zjeździe lekarskim w Kijowie dr. Żbanow zaproponował rozwinąć zabiegi u rządu o zniesienie zupełne tej postaci kary. Zjazd przyjął wniosek, ale w celu zebrania wymownych motywów powołał osobną komisyę do zgromadzenia i opracowania rzeczonych materyałów na zjazd następny. Otóż obecnie dr. Żbanow we *Wraczu* umieścił wyciąg z tych danych, ilustrujący dzisiejszy stan kary w tej postaci. Przed kilkudziesięciu laty stosowana w szkołach, a szczególnie śród mas włościańskich, była niemal wyłączną za wszelkiego rodzaju wykroczenia i przestępstwa lżejsze. Rozwinął się nawet na tem tle pewnego rodzaju przemysł: produkcya rózg. Sprowadzano je dziesiątkami tysięcy wiązek! Kara ta trwała i po uwłaszczeniu w najlepsze. Dopiero szkoła ziemska zaczyna potroszę usuwać rózgi. Jeszcze przed kilku laty rózga w sądach gminnych grała wybitną rolę, następnie w ostatnich czasach, zwłaszcza tam, gdzie kultura i lekkie promienie cywilizacyi przenikają, ten zwyczaj ohydny szybko zaczyna zanikać. Liczba wyroków, skazujących na rózgi, spadła w niektórych guberniach z tysięcy na setki, a nawet i z tej liczby sporo pozostaje na papierze, w rzeczywistości zaś stosowana bywa inna kara. Tak np. w gub. Smoleńskiej w r. 1891 sądy gminne wydały 1,850 wyroków, skazujących na karę cielesną, w 1892 r. 1,094, w 1893 r. 732, w 1894 r. 489, w 1895 r. 363, wreszcie w r. 1896 już tylko 211. Jednocześnie wzrasta procent wyroków z tej kategoryi, niezatwierdzonych przez naczelników ziemskich i zjazdy powiatowe. Tak np. w r 1891 naczelnicy ziemscy zatwierdzili 743 wyroki, skazujące na karę cielesną, w 1892 r. 456, w 1893 r. 258, w 1894 r. 102, w 1895 r. 65, wreszcie w r. 1896 tylko 24. Mniej więcej podobny stosunek daje się spostrzegać w niektórych innych guberniach (oczywiście są jeszcze i takie miejscowości, gdzie, jak rzekliśmy, kara cielesna kwitnie w najlepsze). Życie tedy zaczyna dość szybko samo usuwać tę karę. Prawodawstwu więc pozostaje w znacznej mierze tylko uświęcenie tej zmiany, zgodnie z rozwojem uczuć humanitarnych. Uświęcenie to zaś pożądane jest jak najprędzej, bo im rzadziej kara cielesna bywa stosowana, tem ona *moralnie* jest surowszą.

Paweł Krzyżanowski.

KRONIKA KRAKOWSKA.

14 grudnia.

Zjazd posłów. — Wiec słowiański. — Hr. Badeni jako twórca związku słowiańskiego. — Odczyt St. Szczepanowskiego. — Jeszcze kursy ludowe. — Politykomania. — Gwałt publiczny i publiczna opinia. — Pomoc bratnia — Solidarność koleżeńska. — Refleksye.

Dnia 12-go b. m. odbył się pierwszy zjazd posłów słowiańskich w Krakowie i pierwszy wiec słowiański. Były szumne mowy, gorące uściski — płynęły łzy rozczulenia i okrzyki „na zdar,“ zjednoczenia Słowiańszczyzny, na cześć jego twórcy ministra Badeniego.

I powiadają niedowiarki, że cuda nie dzieją się już dzisiaj. Według zasad fizyki, wszelkie ciało spadające leci na dół, tymczasem premier Austryi, spadając, poleciał do góry i leci tak coraz wyżej, że nie wiadomo, gdzie się zatrzyma. Daru proroczego nie miał hr. Badeni, bo ugody z Węgrami, którą chciał kupić za cenę rozporządzenia językowego dla Czech, nie przeprowadził; ale dar czynienia cudów przemienił go w mgnieniu oka z bezwzględnego urzędnika i zręcznego kierownika rządowych cugli na obrońcę wolności i apostoła idei słowiańskiej. I uwierzyli weń odrazu wszyscy, i uwierzyli w ideę, której mimowolnym stał się przedstawicielem... z woli ludu. Począwszy od najwyżej postawionych osobistości, aż do pensyonarek i uliczników, wszyscy wznoszą okrzyki na cześć idei zjednoczenia Słowiańszczyzny. Że przy tej sposobności rozbiło się kilka stowarzyszeń i kilka partyj, że latały w powietrzu laski a w kieszeniach sterczały noże i rewolwery, to dowód tylko wielkiego zapału i wiary w nową prawdę. Wszak biły się między sobą nie pobratymcze narody, ale bracia rodzoni, dzieci jednej matki, towarzysze ławy szkolnej. Że przy tej walce „o ideę“ stratowano dziecko, że na czele komitetu stali ludzie, na których nawet krakowska opinia publiczna trochę krzywo patrzy — o tem i wspominać nie warto. Co z tego wyniknie, to dopiero zobaczymy. Obyśmy utrzymali się na tem stanowisku, na którem postawił nas, bodaj że nie chcąc, hr. Badeni — na stanowisku obrońców sprawiedliwości i rasowej solidarności przeciw przemocy reakcyi i germańskiego drapieżnictwa.

— Kochany!

— Droga! — wołali przez łkania radosne.

Obojgu płynęły z oczu łzy rzęsisto...
Czy myśli on o przeszłości?
Oboje od czasu do czasu piją.
Może to danina, płacona sumieniu?
Sumienie przecież „bierze“ i wódkę...

Grebieniuk i jego gospodarstwo.

W wędrówce po kolonii korsakowskiej nie może ujść uwagi ten mały domek, zadziwiająco schludny, dokładnie zbudowany, elegancki, nawet z tarasem.

Na podwórzu zawsze ktoś pracuje.

Albo kobieta niemłoda karmi świnie, albo wysoki, zgarbiony chłop, wyglądający chorobliwie, rąbie, struga, piłuje.

Podłoga jak stół, bajecznie czysta. Od drzwi do ławy leży chodnik.

Na oknach wspaniale rozrosły się gorunie.

Ściany, sufit starannie wyheblowane, wyczyszczone.

Każda belka gładko ociosana, na kantach otoczona szlakiem.

W tym domku spędziłem kilka przyjemnych godzin. Tu oddychałem całą duszą, zdala od „czadu sachalińskiego,“ od tej bezdomności, ruiny zbiorowej, nędzy katorżnej. Wszystko tchnęło pracą, miłością ku niej, znać było mały, skromny dostatek.

Gdy jestem zakłopotany, gdzie w tym czystym domku podziać resztki papierosa spalonego, Grebieniuk idzie do rzeźbionej skrzyni i ostrożnie, jak jakąś kosztowność, wydobywa popielniczkę fajansową.

— I to mamy. Dla mnie samego niepotrzebne, ale gdy kto przyjdzie, to się przyda.

Swój dom i całe gospodarstwo Grebieniuk bardzo umiłował.

— Przecież tu każdą belkę znam, mogę je po imieniu nazwać!—mówi on z miłym uśmiechem i rozgląda się dokoła z pewnem rozrzewnieniem; każdą sam w tajdze wynalazłem, obrobiłem i przyciągnąłem tu własnemi rękami. Sam każdą dopasowałem. I w dnie powszednie, i świąteczne chodziłem tu pracować.

Widać istotnie, że droga mu jest i znana każda kłoda; z każdą łączy się wspomnienie, jak on, Grebieniuk, „stawał się człowiekiem.“

Jest on majstrem do wszystkiego, pracuje od wschodu do zachodu słońca prawie bez wytchnienia.

Cyrulik, cieśla, stolarz — wszystkiego się nauczył na katordze, ma ogród, hoduje nierogaciznę, kur także mnóstwo, których ona dogląda. Owiec dwie pary.

Grebieniuk jest jeszcze w katordze. Za dobre jednak sprawowanie pozwolono mu mieszkać po za obrębem więzienia na wolnej stopie. Dla więzienia zaś on „wykonywa lokcye“; zajmuje się tam stolarstwem kilka godzin dziennie; resztę czasu poświęca dla siebie.

— Prędko już się skończy katorga; na dwadzieścia lat byłem skazany; dzięki manifestom i skróceniom, za cztery miesiące już zupełnie kończę karę. Pójdę na osiedlenie, a wtedy już tylko dla siebie będę pracował

Wbrew zwyczajowi dano Grebieniukowi „towarzyszkę życia,“ pomimo że on jest jeszcze w katordze i że na taki zbytek nie ma prawa.

— Niemłoda już kobieta, przyszła tu „za męża,“ tj. za zabicie jego. Jest znacznie starsza od Grebieniuka, nieładna.

— Ja ją poważam i ona mnie również. Dobrze żyjemy, nie można narzekać.

To współpożycie istotnie bardziej jest oparte na szacunku wzajemnym, niż na czem innem. Wziął ją dlatego, że jest porządna i gospodarna. W robocie nie ustępuje jemu.

Mieliśmy odczyt posła Szczepanowskiego, który rozpoczął wykłady popularne, otwarte d. 1 b. m. Prelegent mówił „O potrzebie kursów ludowych." Z właściwym mu zapałem i talentem krasomówczym opowiedział nam mnóstwo rzeczy ciekawych i bardzo oryginalnie oświetlił nasze stanowisko kulturalne w grupie narodów cywilizowanych. Jako główną cechę naszego społeczeństwa zaznaczył fakt, że klasy produkujące, a więc lud rolny i robotniczy, są u nas dotąd na stopniu zupełnego prawie barbarzyństwa pod względem oświaty. Wykształcenie posiada tylko warstwa nieprodukcyjna — urzędnicza. Miasta, które zasilają inne kraje sokami żywotnymi, jako ogniska produkcyi, u nas są czysto administracyjnemi. Pieniądze, wydobyte z ziemi i innych źródeł bogactwa narodowego przez klasy wytwórcze, idą na utrzymanie bardzo skomplikowanej biurokracyi. Wynikające z tych warunków złe położenie materyalne warstw produkujących powoduje przymusową prawie kastowość wychowania. Wskutek tego przy ustroju pozornie demokratycznym bardzo silnie wybija się hegemonia żywiołów inteligentnych, gdyż ogółowi obywateli brak wykształcenia życiowego i wyrobienia charakteru, jakie daje oświata. A przecież wiadomo, że biurokracya nie stanowi ani siły ekonomicznej, ani obywatelskiej kraju, nie daje nawet rękojmi ładu społecznego, bo ten polega na wyrobieniu ducha obywatelskiego. Indye, które miały niesłychanie skomplikowany ustrój państwowy, zostały w bardzo krótkim czasie podbite przez handlowych agentów londyńskich, bo w Anglii ogół jest oświecony, bo Anglia miała Shakespeare'a. A to wykształcenie szerokich warstw produkcyjnych nie jest tam dziełem szkół rządowych. Źródłem jego są niezliczone instytucye naukowe, prywatnie drogą samopomocy stworzone, zalewające kraj cały. Nawiązując to, co zrobiono z wielkim pożytkiem gdzieindziej, do tego, co rozpocząć przynajmniej należałoby u nas, prelegent odwołał się do naszej inteligencyi, aby poparła myśl założenia kursów ludowych, zaznaczając, że jest to „wielka rzecz do zrobienia."

Inteligencya przyklasnęła z ogromnym zapałem — no i mamy zaczątek uniwersytetu ludowego w Galicyi... w Krakowie... w gmachu uniwersyteckim. A, przepraszam! Co to, to nie. Tak nizko nie upadliśmy jeszcze, żeby w przybytku wiedzy krakowskiej urządzać jakieś tam wykłady popularne. Dość już, że po wszystkich salach, korytarzach i laboratoryach pełno bab, które nie mają nawet wcale zawstydzonych min i rządzą się jak szare gęsi. Tych pozbędziemy się prędko, bo oczywiście sprzykrzy im się ta cała uczoność; ale żebyśmy hołotę mieli wpuszczać do gmachu uniwersyteckiego — nigdy! Chyba że ta cała sprawa bardzo się powiedzie. Wtedy możemy objąć je pod swój „protekterat."

Tak rozumowały prawdopodobnie władze uniwersyteckie, odmawiając sal na urządzenie kursów. Mimo to wykłady popularne rozpoczęły się już w starym amfiteatrze Nowodworskim przy gimnazyum św. Anny. Wprawdzie tam trzeba było specyalnie urządzać oświetlenie gazowe, co niemało nadszarpnęło fundusze, przeznaczone na kursy ludowe, ale świątynia wiedzy pozostała nadal czystą, niesprofanowaną stopami paryasów.

Kursy popularne podzielono na sześć seryj, po dwanaście wykładów każda, które obejmują następujące przedmioty: historyę, literaturę, geografię, geologię, hygienę, nauki społeczno-prawne. Wykładającymi są profesorowie uniwersytetu i nauczyciele szkół średnich.

Nieszczęsna jednak polytykomania, stanowiąca chorobę społeczną Galicyi, musiała zamącić i tę robotę, która miała wyłącznie cywilizacyjne zadanie i prowadzoną była przez towarzystwo, stworzone wyłącznie w celu szerzenia oświaty.

Ach, polityka! Jak u Francuzów filozofię każdego faktu streszczają w aforyzmie: „cherchez la femme," tak u nas wszystkie ambicyjki, wszystkie karyerowiczowskie zapędy, wszelkie zawiści osobiste i instynkty sobkowskie stroją się w obywatelską togę polityki i torują sobie drogę do celu potwarzami, zniewagami i denuncyacyą. Na dowód może posłużyć fakt, który przed kilku tygodniami poruszył cały Kraków i przycichł nagle... bo tak nakazywała polityka. Pewien redaktor obrzucił najniewinniej przeciwnika politycznego błotem złodziejstwa Kieszkowskiego. Przyjaciel spotwarzonego, który wówczas był nieobecny w Krakowie, oburzony do żywego spoliczkował oszczercę na ulicy. Zrobiło się zbiegowisko. Ponieważ bronią, jaką w zapale politycznym wojował ów redaktor, było stale oszczerstwo i plwanie na najuczciwszych ludzi, jeśli nie podzielali jego ciasnych poglądów, ogólna niechęć objawiła się w ten sposób, że nikt nie ujął się za znieważonym czynnie, a niektórzy podobno przy tej sposobności i swoje rachunki wyrównać chcieli.

Nikt, mający rozwinięte poczucie taktu i z przeproszeniem trochę smaku, nie pochwali bijatyki, urządzonej na ulicy, ale wszyscy obarzyć się powinni, że z faktu czysto-osobistej „sprawy honorowej" zrobiono zbrodnię gwałtu publicznego. Zamknięto kilku ludzi do więzienia śledczego, gdzie przesiedzieli najniewinniej parę tygodni, a byli między nimi ojcowie rodzin, zarabiający na chleb z dnia na dzień. Oskarżonych sąd uniewinnił od wszelkiej odpowiedzialności, a spoliczkowanego obnosiła młodzież po rynku, jako męczennika w imię walki „ze zdrajcami ludu i gwałcicielami wolności" — jak pisze pewien pobożny dziennik.

I cóż dziwnego, że wobec tego opinia publiczna toleruje, gdy na czele partyj narodowych stają nieponie, że pod hasłem wielkich idei rośnie w górę karyerowiczowstwo i obłuda? Młodzież zatraca poczucie moralne i bawi się w politykę taką samą, jak starsi i najstarsi... ci tam w parlamencie.

Mieliśmy tego przykład w czasie wyborów do zarządu „Bratniej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego." Ponieważ w polityce wszystko jest dozwolone, ponieważ do walki występowały dwie partye, więc mieliśmy „obstrukcyę," opozycyę i hecę antisemicką, koleżeńskie wymyślania od zdrajców i łajdaków.

Zacny rektor z właściwym mu taktem i rozwagą skarcił te dzieci niesforne, ale czy to co pomoże?

Caeca.

KONGRESY OCHRONY PRACY.

I.

O jednym czasie prawie, w różnych krajach, w warunkach niejednakowych obradowały dwa zjazdy tym samym kwestyom poświęcone. Mamy na myśli kongresy międzynarodowe ochrony pracy, które, zebrawszy się w Zurychu, a zaraz potem w Brukseli, przykuły do siebie uwagę Europy: prawodawczej, ekonomicznej, społecznej, robotniczej. Ich obrady zasługują ze wszechmiar na baczną uwagę. Rozpatrzymy wytyczne ich punkty.

Zjazd w Zurychu, zapowiadany i przygotowywany od lat kilku, był nader liczny. Przedstawiciele wszystkich narodów

---

Grebieniuk dostał się do katorgi „ze służby."

— Czyś na mocy podejrzenia skazany?— zadałem zwykłe pytanie sachalińskie.

— Nie; jeżeli już tak pan o wszystkiem chce wiedzieć, to trzeba prawdę mówić. Przyszedłem tu za zabójstwo. Pana zamordowaliśmy... Z deńszczykiem uśmierciliśmy go.

— W celu rabunku?

— Nie. Za okrucieństwo. Okrutny był nieboszczyk, ach, jak okrutny! Tak bił, że dotychczas jego uderzenia mnie bolą. Wnętrzności całe odbił, tak bił strasznie! Byłem u niego furmanem, konie miał ładne. Ile razy do nóg mu padałem, buty całowałem. „Proszę mię uwolnić, panie, jeśli ja jestem taki niezdolny, dogodzić nie mogę." „Czyż ja — mówi — trzymam ciebie? Konie trzymają!" Z natury miałem to upodobanie — doglądać koni. Były one u mnie zawsze w porządku... Ale ot, strasznie bił nieboszczyk. I teraz spokojnie wspomnieć nie mogę.

— Ciężko!

— Było to dnia 29 września 1885 r., w mieście Międzyborzu, gub. Podolskiej — może pan słyszał? Mój pan był z deńszczykiem w Kijowie, ja zostałem przy koniach. Przyjeżdża on do domu i zaraz idzie do stajni. Zamiast powiedzieć po ludzku: „Jak się masz, dyable!" albo inaczej — wsiadł po prostu na mnie: Co ty, niegodziwcze — mówi — z końmi zrobiłeś? Zupełnie wychudły! Co ty, podła duszo, zrobiłeś?" Konie w jego nieobecności miały biegunkę. Mówię mu na to: „Wielmożny panie, konie były chore, więc dlatego schudły. Ja przecież sam o tem panu telegrafowałem." — „Łżesz, łotrze! owies kradłeś!" I w twarz. Strasznie mnie wonczas bolało ucho. Zakrywam dłonią, a on, zamiast bić po zdrowem, wciąż oddzierał mi rękę i bił po chorem. Okropnie cierpiałem. Widzę, że niepodobna tak żyć, więc mówię do deńszczyka: „Trzeba koniecznie zabić. Bo ktoś z nas musi nieżyć, albo my, albo on." — A ten mi na to: „Sam chciałem ci to powiedzieć." Umówiliśmy się i tegoż jeszcze wieczora spełniliśmy zamiar.

Grebieniuk na chwilę przestał mówić, zatopił się we wspomnieniach.

— Była godzina jedenasta. Czekałem w kuchni, a deńszczyk poszedł zobaczyć, czy śpi. Po chwili wraca i mówi: „Można, śpi!" Wypiliśmy dla animuszu butelkę nalewki, którą deńszczyk zawczasu przygotował, pozdejmowaliśmy buty, żeby nie było słychać i poszliśmy... W sypialni zawsze się paliła lampka nocna, ot, tak, a on tak leżał. Ręce miał na piersiach. Spał. „Do dzieła!" I rzuciliśmy się ku niemu. Deńszczyk Carenko schwycił za ręce, a ja pętlę założyłem na szyję, zacisnąłem i udusiłem go.

— Odrazu?

— W jednej chwili. Nawet pomęczyć nie udało się. — Przy tych słowach głos Grebieniuka zadrżał, poruszony nienawiścią tajoną. — I pomęczyć nie udało się, gdyż za ścianą spał inny pan, mógł posłyszeć, zbudzić się!

— A on zbudził się?

— Tak, w tej samej chwili przebudził się, gdy deńszczyk za ręce schwycił. Tylko głosu wydobyć nie zdążył. Rękę Carence wyrwał i sięgnął ku ścianie, gdzie wisiały rewolwer, strzelba, kindżały, szabla. Ale Carenko znowu rękę mu przytrzymał. Ja zaś zdążyłem pętlę ściągnąć. Spojrzał on tylko na mnie... Tak go zgładziliśmy.

Grebieniuk odetchnął.

(C. d. n.).

europejskich i wszystkich grup społecznych stanęli do apelu. Najliczniej reprezentowany był świat robotniczy i duchowieństwo. „Nigdy — mówi jeden z uczestników — nie widziano w jednej sali tylu sutann i tylu czerwonych krawatów razem. Grupy robotnicze Niemiec, Austryi, Włoch, Holandyi, Anglii, Szwecyi i Szwajcaryi wysłały swych delegatów, w kilku wypadkach nawet cele ich grupy. Nader licznie wystąpiło też duchowieństwo rzymsko-katolickie. Ze Szwajcaryi Decurtius, z Belgii Daens, de Pierre i de Wiart, z Austryi Axman i Bielohlavek, baronowa Vogelsang i ks. Stojałowski — a dalej całe zastępy księży szwajcarskich, południowo-niemieckich i alzackich. Odłam protestancki tego samego ruchu chrześciańsko - społecznego miał swych rzeczników w osobach Kulemanna (sędzia z Brunświku) i pastora Trauba ze Stuttgartu. Tutaj zaliczyć też można, z pewnem jednak zastrzeżeniem, znanego a pod wielu względami znakomitego publicystę, Rudolfa Meyera. Pomiędzy temi dwiema grupami polityków „wojujących" znaleźli się prof. Jay (z Paryża), de Seilhac (przedstawiciel „Muzeum społecznego" w Paryżu), Lambrechts, urzędnik z belgijskiego ministeryum pracy, Schuler, znany inspektor fabryczny szwajcarski, oraz przedstawiciele dziesięciu kantonów szwajcarskich. Wyliczamy tylko bardziej znane nazwiska. W mowie inauguracyjnej rzekł Scherer, radca kantonalny z S. Gallen: „Kongres nie jest dziełem jednej partyi politycznej; zaprosiliśmy wszystkich, kto tylko uznaje konieczność ochrony pracy. Nie chodzi nam wcale o teoryę i doktryny, lecz o wspólny program działania. Uznajemy opiekę nad pracą robotniczą, jako żądanie hygieny i człowieczeństwa." Pierwsze referaty dotyczyły roboty niedzielnej. Prof. teologii z Fryburga szwajcarskiego, Beck, panując nad całkowitą literaturą przedmiotu, zapoznał zgromadzenie ze wszystkimi warunkami tej pracy, zniewalającymi do najsurowszego jej ograniczenia. Określił międzynarodowy charakter tych ograniczeń, jako centralny punkt całego prawodawstwa ochrony pracy. „Praca niedzielna godzi w rdzeń sił ludu, jest lichwą w stosunku do sił żywotnych, gospodarstwem rabunkowem w zastosowaniu do człowieka. W walce konkurencyjnej zwycięży ten naród, który posiada najmniej zużytych pracą robotników." Mówca żądał rozciągnięcia odpoczynku niedzielnego i na sobotnie popołudnie i wskazał jako przykład Anglię, gdzie ten zwyczaj jest prawie powszechnym. Drugi mówca, Brandt, podkreślił bardziej tło społeczne odpoczynku niedzielnego, który ma być dla robotnika chwilą „radosną," poświęconą zwiedzaniu muzeów, koncertów, czytelni. Charakterystycznie odbijało od mowy Becka żądanie delegatów angielskich, którzy chcieliby przenieść odpoczynek na inny dzień tygodnia; tradycye bowiem angielskie nie pozwalają robotnikowi korzystać we właściwy sposób z tego odpoczynku. Wniosek ten atoli został niebawem cofnięty i zgromadzenie podzieliło mniemania prof. Becka, sformułowano ostatecznie przez deputowanego austryackiego Pernerstorfera. Wnioski te brzmiały: kongres żąda zakazu pracy niedzielnej pod groźbą skuteczną kary dla wszystkich kategoryj najemników i pracowników wogóle. Wyjątki dopuszczane być mogą tylko dla tych rodzajów pracy, które są konieczne ze względu na umożliwienie jej bez szkody w poniedziałek, albo dla tych kategoryj, które nie znoszą żadnych przerw w produkcyi. Granice tych wyjątków powinny być ściśle oznaczone w prawie, a w żadnym wypadku nie można pozostawić przeprowadzenia ich dowolnemu tłomaczeniu władz administracyjnych, jak to się dzieje dotychczas. Robotnicy i pracownicy wogóle, którzy zajęci byli jednej niedzieli, powinni mieć następną wolną bezwarunkowo, a prócz tego otrzymać inny dzień wolny w tygodniu. Odpoczynek niedzielny powinien obejmować nie mniej, niż 36 godzin.

Pracy dzieci poświęcono kilka referatów. Dr. Gehring (Bern) i Reimann (Kiel) na podstawie dużego materyału, zapożyczonego ze skarbnicy doświadczenia medycznego, żądali usunięcia dzieci z fabryk poniżej lat 15. Najlepszym środkiem dla przeprowadzenia tej zasady będzie przedłużenie do tego wieku przymusu szkolnego. Młodzieńcy od 15 do 19 roku nie powinni pracować w fabryce dłużej, niż 7 godzin dziennie. Grupa konserwatywna obradujących nie chciała się zgodzić na dłuższą granicę wieku „szkolnego," niż ta, która obowiązuje obecnie w Niemczech (14 lat). Anglik Burrows i docent Reich (z Wiednia) żądali w odpowiedzi jeszcze jednego roku nauki szkolnej, tj. wymagali zamknięcia fabryk dla młodzieży poniżej lat 16. Wreszcie większością głosów (132 przeciw 75) przyjęto wniosek referentów. Po za tem zjazd postanowił, aby robotnicy młodzi (poniżej lat 19) mieli zupełną możność rozwijania się dalszego w szkołach, uzupełniających wykształcenie początkowe; aby wreszcie — bezwarunkowo wzbronioną była małoletnim wszelka praca niedzielna.

Kongres uznał wprowadzenie maksymalnego dnia roboczego dla wszystkich robotników, zajętych w przemyśle, rzemiosłach, handlu i rolnictwie jako konieczne. Wyjątkiem dopuszczonym być może tylko dla rolnictwa podczas żniw.

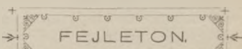
Najwięcej stoczono bojów, najwięcej skruszono kopij w dziedzinie pracy kobiet. Belgijczyk, de Wiart, zażądał zupełnego zniesienia ich pracy fabrycznej. Uważa on tę ostatnią, zarówno jak i pracę dzieci (fabryczną) za oburzające pogwałcenie praw przyrody i wymagań moralności. Niechaj nie mówią, że zarobki żony są konieczne dla wyżywienia rodziny: dawny ustrój ekonomiczny nie wypędzał kobiety do pracy po za próg domu bez względu na ujemne strony organizacyi rzemieślniczej. Jeżeli na jedną szalę wagi położymy zysk ekonomiczny, płynący z pracy kobiet, a na drugą — jej skutki moralne, to musimy przyjść do wniosku, że te drugie o tyle mają przewagę, że wszelka wątpliwość ustąpić musi. Ci, co bronią pracy matki, przypominają mówcy hr. Ugolina, który pożerał w wieży własne dzieci, aby im zachować przy życiu ojca. Przedstawicielki świata robotniczego, pani Braun (Giżycka) z Berlina i pani Zetkin (ze Stuttgartu) dowodziły, że kobieta nie potrzebuje wcale dobrodziejstw jej ofiarowanych. Robotnica chce utrzymać w dawnem znaczeniu swe prawo do pracy na równi z mężczyzną i jeśli walczy, to ideałom jej nie jest kobieta, ale człowiek wolny i równy.

Bebel, który stanął po stronie swych rodaczek, zauważył, że żądanie usunięcia kobiet z fabryki prowadziłoby zamiast do wzmocnienia rodziny, do konkubinatu i prostytucyi. „Chcecie wypędzić kobiety z fabryki, ale nie z warsztatu rzemieślniczego, nie z dziedziny przemysłu domowego. Czyż 8 godzin pracy fabrycznej mają być gorszemi od 15 tu, spędzonych przy maszynie do szycia? Mamy w Niemczech ¾ miliona kobiet w przemyśle fabrycznym. Jeżeli zamkniemy przed niemi wrota fabryk, wtedy tysiące mężczyzn nie mogą zawierać związków małżeńskich." Ostatecznie kongres przyszedł do następujących wniosków. Należy dążyć do obszernego i skutecznego prawodawstwa ochronnego dla wszystkich gałęzi pracy niewieściej. Praca powinna kończyć się w sobotę w południe, tak iż odpoczynek niedzielny wynosić będzie 42 godziny. Ściśle przestrzegać należy, aby robotnice nie brały ze sobą do domu roboty, jak to dotychczas jest powszechnie przyjętym zwyczajem. Położnice powinny być przyjmowane do pracy nie wcześniej, jak w sześć tygodni po urodzeniu dziecka. Prawo określi rodzaje pracy, z których kobiety brzemienne bezwarunkowo będą usunięte. Za czas tego odpoczynku robotnica ma otrzymać zapomogę od państwa, albo od gminy, w stosunku do pobieranej płacy. W kwestyi służących dążyć należy do zupełnego zrównania ich praw z innemi kategoryami robotnic. Kongres uznaje, jako zasadę, że za jednakową pracę kobieta otrzymywać powinna jednakową płacę.

Prof. Erismann, znany hygienista i profesor z Moskwy, wygłosił nader ważny i cenny referat w sprawie pracy nocnej i szkodliwych dla zdrowia rodzajach pracy fabrycznej. Praca nocna, tj. pomiędzy godz. 8 wieczorem i 6 rano powinna być zupełnie zakazana. Wyjątki dopuścić można tylko dla tego rodzaju pracy, gdzie charakter produkcyi nie znosi przerwy, przyczem one dotyczyć mogą tylko mężczyzn dorosłych. Te rodzaje produkcyi muszą być określone na drodze prawodawczej. Co zaś do przemysłu, szkodliwego dla zdrowia ludzkiego, to prof. Erismann żądał, aby w każdym wypadku przedsiębiorca przedstawił dowody, że zastosował wszelkie środki, którymi rozporządza technika współczesna w dziedzinie ochrony życia i zdrowia ludzkiego. Przedewszystkiem powinna być zwrócona uwaga prawodawcy na środki, ubezpieczające organy oddechowe robotników od szkodliwych cząsteczek materyalnych: kurzu, gazów itp. Kobiety i młodzi ludzie poniżej lat 18 nie powinni być wcale dopuszczeni do pracy w takich warunkach. Praca powinna być krótszą, niż w innych dzielnicach przemysłu. Odpowiedzialność za zdrowie i życie robotników spoczywa całkowicie na przedsiębiorcach.

(D. n.).

S. P.



LIBERUM VETO.

Najwyższe przykazanie i jego spełnienie.

W przyszłym tygodniu świat chrześciański obchodzi jedną z najczcigodniejszych swych pamiątek, która powtarza się w jego historyi nietylko jako uroczyste święto, ale jako przypomnienie wielkiego, dotąd niespełnionego, przykazania. Bo i gdzież jest owo „miłowanie bliźniego jak siebie samego," o którem ludzkość mówi od 19 wieków i na które dotąd zdobyć się nie może? Nie było w dziejach ani jednej takiej chwili, w którejby smutna twarz Chrystusa miała powód rozjaśnić się weselem. Ta twarz patrzy ciągle na gromadę wilkoludzi, warczących na siebie lub zagryzających się wzajemnie. Przeczucia marzycieli twierdzą, że kiedyś w odległym czasie stanie się cud, że ród człowieczy zwiąże się tymi węzłami, które mu wskazał Chrystus, a wtedy może boleśnie spuszczona głowa Ukrzyżowanego podniesie się i rozpromieni uśmiechem radości. Utajone pragnienie i nadzieja tego cudu tkwią w uroczystości obchodu rocznicy narodzin Jezusa; bo i dlaczegożby ludzkość tak czciła tę pamiątkę, gdyby nie chciała pójść za tą gwiazdą, która świeciła nad żłobkiem Betleemskim?

Mimo wszakże, iż ma w nią wzrok utkwiony, zbacza z jej drogi. Zapewne,

dziś człowiek nie jest tak dzikim wilkiem względem bliźniego swego, jakim był przed Chrystusem; ale jakże on jeszcze zdala okrąża ten cel, który stanowi wszechmiłość! Nieraz zdaje się, że jakaś zła moc wytrąciła ziemię z kolei obrotu około słońca i wprowadziła ją w inną orbitę, której środkiem jest punkt najgęstszej ciemności. Właśnie teraz od paru dziesiątków lat doznajemy takiego wrażenia, jak gdyby gwiazda Betleemska zgasła lub znalazła się po za obrębem koła ludzkich dążeń. Stany, warstwy społeczne, wyznania, narody i państwa — zamieniły się na obozy wrogów, które nie chcą słyszeć ani o rozejmie, ani o pokoju, lecz tylko o wzajemnej zagładzie. Z dymu, kurzu, oparów krwi, wrzawy, krzyku zwycięzców i jęku zwyciężonych wytworzyła się atmosfera zażartego boju, którą wszyscy oddychają i która we wszystkich podnieca instynkty wojny. Każdy staje się w niej żołnierzem, zapaśnikiem, który walczy pod sztandarem nienawiści. Ci usiłują wytępić Niemców, tamci Francuzów, inni Polaków, Czechów, Hiszpanów, katolików, Żydów itd.— prawdziwie Hobbesowski obraz. A ciągle w tych starciach i zgiełku miga między orężami krzyż, który z nimi nie ma nic wspólnego. Zawieszony na nim Chrystus, protestuje cierniową koroną, ranami, całem męczeństwem przeciwko temu pogwałceniu i bezczeszczeniu świętego znaku—daremnie. Zaiste, szatan historyi wybuchał nieraz piekielnym śmiechem, ale nigdy większym, jak przy tym widoku ludzkiej obłudy i kłamstwa.

Jak rzekłem, miazmatyczna atmosfera czasu przenika wszystkie umysły. I my nie jesteśmy od niej wolni. Na stronicach *Prawdy* czytelnik często spotyka słowa gniewu i potępienia, pomimo że szczerze życzymy sobie, bodajby one nigdy nie wychodziły ani z pod naszego pióra, ani z ust naszych. W ostatnich czasach konieczność każe nam odpierać ataki Niemców. Straszne to w naszych losach plemię! Od dziesięciu wieków przeszło pracuje ono niezmordowanie nad zagładą naszą. Wojnami, kolonizacyą, wiarołomnemi ugodami, intrygami, podszczuwaniem sąsiadów, wszystkiem, co daje siła lub przebiegłość, działali Niemcy przeciwko nam, jak gdyby ta robota była głównem ich zadaniem dziejowem. Im zawdzięczamy w przeszłości nieszczęścia, straty, rozterki wewnętrzne, wreszcie zawalenie się budowy politycznej. Przez całe pasmo historyi naszej przewija się krwawa lub żałobna nić knowań niemieckich, łańcuch tajemnych podkopań lub otwartych uderzeń. Zdawało się, że już osiągnęli swój cel, że dostatecznie osłabili naród, który tak długo był przedmiotem ich zaciekłej nienawiści. Nieprawda — on ich jeszcze wprawia w furyę. Parlament, rząd, szkoły, sądy, instytucye publiczne i prywatne wytężają całą swą pomysłowość na zgubę nienawistnego im żywiołu, chociaż ten niczem ani ich nie drażni, ani nie grozi. Największy ich społeczesny bohater, już dziś obojętny w starczem otępieniu na wszystko, nie przestaje zalecać swym rodakom tego jednego obowiązku zagłady i śród bólów newralgicznych, śród mroków nadchodzącej śmierci przypomina potrzebę tępienia Polaków. Za tym półbogiem idą wszyscy jego czciciele. Wiadomo, co rząd pruski robi w Poznańskiem, a jego płód hakatystowski na całym obszarze państwa; wiadomo, że nawet biednych robotników polskich w Westfalii kazano wygnać, jak gdyby oni przynosili z sobą nie pracę wyzyskiwaną, ale puszkę Pandory z zamkniętemi w niej plagami. Są to fakty znane i tak głęboko wryte w pamięć ogółu, że odświeżanie ich byłoby zbytecznym trudem. Chcę natomiast podnieść inny objaw, który najmniej zwraca uwagi, a jest może najważniejszym, mianowicie zachowanie się młodzieży niemieckiej w wyższych zakładach naukowych.

Na całym świecie młodzież ta jest w przeważnej większości ożywiona uczuciami braterstwa i ideami postępu. Nawet synowie ojców samolubnych i przyszli orędownicy wsteczcnictwa, dopóki siedzą na ławach szkolnych, mają serca i umysły wolne od tej rdzy, którą na nie w domu rodzicielskim lub działalności późniejszej nakłada życie. Młoda dusza jest dziewiczym gruntem kwiatów, który dopiero pod wpływem atmosfery życiowej staje się uprawnym gruntem roślin użytkowych. Nie wchłonęła ona jeszcze w siebie rozkładowych pierwiastków walki o byt, posiada skład naturalny, grzeje się w słońcu, pije rosę i nasyca się czystem powietrzem. Dobrze jej jest w tym stanie pierwotności, nie czuje jeszcze potrzeby wynaturzenia się. Ani też zwykle zapały człowieka nie są już potem nigdy tak gorące, jak w epoce studenctwa, ani marzenia tak szlachetne, ani stosunki tak serdeczne, ani owo przykazanie Chrystusowe o miłości bliźniego tak szeroko i szczerze spełniane. Jedyny wyjątek pod tym względem stanowi młodzież niemiecka. Ona protestuje przeciwko wszelkim aktom i objawom wolnej myśli, ona stanowi chór wsteczcnictwa, ona splata wieniec na czoła bohaterów reakcyi. W żadnej warstwie społecznej nie miał Bismarck większych czcicieli, niż śród studentów. Dziwny ten fakt da się objaśnić chyba tem tylko, że nigdzie zarówno duch, jak formy życia wieków średnich nie przechowały się tak wiernie, jak w korporacyach młodzieży niemieckiej. Dość spojrzeć na te cudaczne, muzealne stroje, dość poznać te anachronistyczne zwyczaje, pojedynki, popisywanie się wzorem dzikich ludów odniesionemi ranami — dość, mówię, przyjrzeć się tej starej, śmiesznej i niedorzecznej farsie, ażeby odrazu pojąć, że ona jest jakimś przeżytkiem cywilizacyi, zupełnie obcym tegoczesnym jej wymaganiom. Przeżytek ten jest nietylko dziwolągiem, lecz także źródłem uczuć, których zdroje biły w średnich wiekach — uczuć wyłączności plemiennej i wyznaniowej. Student niemiecki, to rycerz lub krzyżak, który w swoich kolegach innych narodowości widzi przeciwników turnieju, wrogów wojny lub pogan. Naturalnie jego animusz bojowy najchętniej rzuca się na słabszych, do których należą Polacy. Przypominają sobie zapewne czytelnicy rozmaite uchwały i prośby, podawane do zwierzchności szkolnej przez studentów niemieckich, żądających bądź bezwzględnego zamknięcia wstępu do wyższych zakładów naukowych dla „cudzoziemców,“ bądź przynajmniej obciążenia ich zwiększonemi opłatami. Usiłowania to (częściowo uwzględnione przez władze) są czemś tak przeciwnem tradycyom młodzieży i nastrojowi moralnemu naszej epoki, że odbijają się na jej tle jak zmartwychwstałe barbarzyństwo.

Nie twierdzę, ażeby ten duch barbarzyństwa ogarniał całą młodzież niemiecką. O ile wszakże istnieją śród niej żywioły szlachetne, powinny one postawić sobie za cel najwytrwalszych usiłowań reformę zasad i obyczajów studenckich w kierunku humanizmu. Jest ona daleko potrzebniejszą i ważniejszą dla ich własnego narodu, niż dla jego ofiar. Bo cywilizacya to nietylko wiedza, sztuka, dobrobyt, siła polityczna, to także wysoki rozwój uczuć moralnych. Bez tego pierwiastku ona nigdy się nie obejdzie.

Poseł Prawdy.

ROCZNICA GROTTGEROWSKA.

Trzydzieści lat minęło od śmierci największego z rysowników polskich i jednego z największych w Europie. Tyleż lat zaledwie on przeżył, zdążył jednak pozostawić nam spuściznę, która wyraża ogrom przedwczesnej straty, ale zarazem ujawnia siły wielkiego artysty. Jak Mozart, Shelley, Schubert, Malczewski, położył on się do grobu wtedy, kiedy geniusz jego rozkwitł w całej pełni. Przypominając sobie dziś chwilę jego zgonu, żałować musimy wiele, bardzo wiele. Nie możemy bowiem stłumić w sobie wyrzutów, żeśmy go za życia należycie nie ocenili, żeśmy mu pozwolili cierpieć nędzę, rujnować w niej zdrowie i stracić życie, które miało taką wartość dla narodu. Wprawdzie panowie galicyjscy przyjmowali go na swych dworach, raczyli nawet obdarzać swą łaską, czy — jak się dziś mówi, kiedy przechwałka zaszczyt przynosi— swoją przyjaźnią, ale to retuszowanie życiorysu nie zetrze faktu, że gdyby cesarz austryacki nie kupił był za 3,000 zlr. „Wojny,“ Grottger byłby umarł w ostatniej biedzie. Trzeba dziś szczerze wyznać, że przeoczyliśmy go, jak wielu innych. Wydawał nam się wówczas dobrym i wesołym chłopcem, zdolnym ilustratorem pism krajowych i obcych, ale nie widzieliśmy, że to był geniusz, że dla utrzymania się przy życiu wymagał warunków pielęgnujących takie delikatne arcydzieła natury, że dusza jego paliła się wielkim ogniem za szybko i zgasła za wcześnie. Jest to strasznie bolesna omyłka, którą świat ciągle sobie wyrzuca i ciągle popełnia. I niestety, nie może być inaczej. Kto współczesność swoją wyprzedza, nie może żądać, ażeby był przez nią zrozumianym. Zyskuje on dopiero cześć potomnych, o której nie wie. A właśnie najwięksi nie dowiedzieli się o niej. Między nimi Grottger.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Alfons Daudet: *La Fédor.* Paryż, 1897.

Patrząc na grządkę kwiatów, zwarzonych zimnem jesieni, przypomniałem sobie świeżo przeczytany zbiorek Alfonsa Daudeta: „La Fédor.“ Większość koron przekwitła, większość liści zrudziała, ale na odrobinę, która jeszcze została, można patrzeć z pewnem zadowoleniem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że książka Daudeta nosi cechy starości; nie idzie mi o żadne porównania z dziełami poprzedniemi. Owszem, lepsza jest od wielu, lecz chcę poprostu określić jej charaktor: dużo stronic, jak zwykle u Daudeta miernych, pośród nich kilka ładnych.

Najbardziej ujmuje mię tu brak plotkarstwa i tej charakterystycznie Daudetowskiej ciasnoty poglądów. Wypływa on nie ze zmiany wewnętrznej w pisarzu, ale z tematów: oprócz wstępnej noweli składają książkę wspomnienia, końcowo zaś „Święto dachów“ jest miłem marzeniem poetyckiem.

Zresztą styl mdły, pretensyonalności dużo, umiejętności tworzenia postaci mało.

Oto „La Fédor“: Franciszka du Bréau, oddanego szczęściu ojcowstwa, bierze na stronę nowoprzybyły przyjaciel i mówi mu, że dawna jego kochanka, artystka Fédor, zmarła. Powinien być na jej po-

grzebie. Franciszek więc zasłania się jakimś pozorem i wyjeżdżają obaj. Lecz siostra artystki nie wpuszcza go do izby katafalkowej i wskutek tego wraca on do domu. Po drodze rozmyślania o czasach owego związku, który ledwie zdołał zerwać. Wnet jednak staje u wrót swego dworu i dokonywa się szczęśliwy powrót na łono Abrahama, *recte* żony.

Umiała atoli ten żonkosiowski szkic wyróżnienie kilku cech sympatycznych w potępionej artystce, jej przywiązanie do Franciszka, jej dobroć dla dzieci kapelmistrza teatru.

Lepszym wydaje mi się urywek z dziennika autora p. t. „Les Sanguinaires“ — Dereniówki—nazwa wyspy przy Korsyce, gdzie pisarz spędził kilka tygodni, chcąc w ciszy pracować. Żadnego mieszkania, tylko latarnia morska. W niej trzech strażników, każdy nienawidzi drugiego i każdy nienawiść w sobie tłumi. Jest to odpowiednik do gniewu morza, które wciąż bije zaciekle o brzegi wysepki. Monotonne życie kreśli pisarz udatnie, a koniec pokrewny z końcem poprzedniej noweli jest trzeźwiejszy i świeższy—Boże Narodzenie, najstarszy strażnik zaprasza gościa na butelkę wina. Przy niej rozmowa: ot dzisiaj człowiek myśli o żonie i dziecku. — A macie ją? — Mam, niegdyś mieszkali tu, ale że i inni strażnicy żonaci, więc kobiety gryzły się ze sobą, jak z przeproszeniem psy. Obecnie zamieszkują wszystkie Korsykę.

Opowiada potem o swojem życiu rodzinnem. Tymczasem bije dwunasta. Teraz — mówi, a pewne rozczulenie drży w jego głosie — moja stara zapewne ubrała już swą córkę i wchodzi z nią do kościoła. Bo zaczyna się msza pasterska.

Ciekawe jest także wspomnienie o oficerze marynarki, Vildieu, który po Waterloo podejmował się przewieźć Napoleona w swojem czółnie „Łamikamień“ (Brise caillou) między statkami angielskimi przez Atlantyk do Ameryki. Napoleon nie ufał mu. Marynarza dotknęło to mocno i gdy cesarz został wywieziony na wyspę Św. Heleny, on z synem i jeszcze jednym towarzyszem przedsięwziął podróż, o której mówił. Odbył ją szczęśliwie, ostatni z uczestników wyprawy opowiedział jej dzieje Daudetowi.

Jeden szkic mówi o Salpetrierze i Charcocie, inny o oficerze, który zabił się w r. 1870, rozstrojony oddaniem Paryża Prusakom.

Najładniejsze opowiadanie gwiazdkowe: „Święto dachów.“

Dachy paryskie błyszczą świetnie, jak okiem zajrzeć. Cisza zalega przestrzeń, księżyc w pełni, kominy nie buchają już dymem i gdy w dole błoto leży na ulicach i gaz posępnie oświetla zakątki, szczyty domów są białe, kryte niby lekką gazą i uroczyste.

Ale wróbelki zaczynają żalić się na mróz. Kominy wabią je do siebie. Cicho! Czy nie wiecie, że za chwilę przyjdzie królewicz Bożego Narodzenia z podarkami dla dziatwy w mieście?

Uderza północ i nagle poczynają dzwonić dzwony, wiatr budzi się ze snu, chorągiewki na szczytach domów zaczynają skrzypieć, jedna dachówka rozochocona tak podskoczyła, że aż na ziemię upadła. Wszystko na powitanie.

I zaraz na dachach zjawia się orszak królewicza, z światełkami różowemi, zielonemi i błękitnemi, z koszykami zabawek, wstążek, kwiatów, cukierków. Koboldy wiodą swego naczelnika do każdego komina i mówią, jakim dzieciom i jakie zabawki ma wrzucić. Więc do kominów spada deszcz lalek, dzwoneczków, koników i żaden dom nie zostaje zapomniany, żadna chata. Światełka rozsypały się po szerokim obszarze. Aż w tem ochrypły kur zapiał i z między mgieł błysnął biały promień. Święto dachów skończone i słabe promyki różowego słońca spadają na śniegi, barwiąc je tęczowo, srebrząc jedne, posypując złotem drugie.

W. Bugiel.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Julian Wieniawski (Jordan): *Dla dobra ogółu*, komedya w 5-ciu aktach.

Zabłądziła spekulacya w krainę ideologów i łamała sobie głowę nad tem, jakby zrobić dobry interes. Ideolodzy haseł jej nie pojmowali, wszelka chciwość była im obcą, a rachunkiem gardzili, jak czemś niskiem. Serca ich były wielkie jako stodoły, a piersi oddychały jeno dobrem ogółu. Dobro ogółu nie było dla nich jakimś realnym przedmiotem, za którymby się ubiegali, lecz było jako przejrzyste powietrze, przez które na otaczające przedmioty patrzyli. Spekulacya powiedziała sobie, że taką naiwną prostoduszność da się spakować jedynie w kuferczek bezecności. Wypisała tedy na tym kuferczku wielkiemi zgłoskami „Dla dobra ogółu,“ wetknęła go w rękę Ślizgalskiemu i kazała mu prześlizgiwać się pomiędzy ideologami. Ideolodzy otoczyli wnet Ślizgalskiego i pragnęli zajrzeć do kuferka o tak pięknej dewizie; zajrzawszy jednak, pokiwali głowami. Nie rozumieli. Nie rozumiecie? — zapytał Ślizgalski, pokazując im swój towar i zatrzasnąwszy kuferczek, wskazał na wieko, gdzie było wypisano „dla dobra ogółu.“ A to rozumiecie? — zapytał, śmiejąc się. — Rozumiemy. — No, to chodźcie, barany, za mną! I barany poszły za nim, choć nie rozumiały, gdyż na kuferczku widniał napis „dla dobra ogółu,“ co im w zupełności wystarczało. Ślizgał się tak Ślizgalski po dworach, a Spekulacya ruszyła na czele ideologów do wielkiego miasta, gdzie założyła bank. Na słomianego prezesa zaprosiła mitrę książęcą, dyrektorem zamianowała uczciwość, kasyerem biedę i rozpoczęła operacye.

Taki temat, jak powyższy, wyrywa sobie autor zazwyczaj nie z pod serca, ale z pod wątroby. Lecz w dobrym człowieku widocznie i wątroba nie jest tak piołunowo gorzką. Wieniawski musi być bajecznie dobrym człowiekiem, kiedy podobny temat tak pogodnie traktował. On jeden w plejadzie naszych autorów zna dokładnie te trzęsawiska miejscowej naszej spekulacyi, bo życie kazało mu od lat po nich brodzić. Kreśląc niezmiernie wyraziście typy ujemne, na które codzień patrzył blado, że niemal naiwnie rysuje postaci szlachetniejsze i jak gdyby już tylko z pamięci, z pamięci zmrożonej mgłą oddalenia, ba nawet, jak gdyby mu już brakło wzorów żywych i przedstawiał idee. Przeto splata się dziwnie w jego ostatnim utworze wytrawność z pewną sielankowością. Wieniawski wierzy w hasło „dla dobra ogółu“; wierzy w to, że zabłocony sztandar takiego hasła da się wyprać przez moralistów, gdyż kończy swą sztukę literackiem ujęciem tematu w okrzyku: Nie frymarczcie temi pięknemi hasłami!—Inni w raz utraconą dziewiczość haseł nie wierzą; mniemają, iż dziewica raz tylko dziewictwo swe traci i że może najwyżej nową dziewicę porodzić, która swej czystości skuteczniej będzie broniła. Nie chodzi jednak obecnie o przekonania innych, lecz o przekonania autora premiery, który niezależnie od smutnej historyi owego pięknego ogólnika, podniesionego do znaczenia hasła, przedstawił nam szmat stosunków, grę charakterów i życia; nie tego wielkiego, szumnego, oceanowego życia społeczności, lecz życia tej małej, a nagle wyrosłej u nas rzeszy rybaków finansowych, zapuszczających sieci spekulacyi pomiędzy fale ludzkie i wyciągających rozmaite szlachetne płotki, które lada sieć biorą za odpowiedni lokal dla łączenia się.

Przyjrzyjmy się bajce komedyi. Agent spekulantów, Ślizgalski, namawia szlachtę, wyzyskiwaną przez faktorów, do założenia instytucyi finansowej pod nazwą „Pośrednik.“ Ponieważ gospodarka na roli kuleje, a Ślizgalski wabi widokami zysków *notabene* pod pokrywką pracy dla dobra ogółu, więc szlachta idzie na lep, przyjmuje posady dyrektorów, wchodzi do rady nadzorczej. Kobiety protestują wprawdzie jako kapłanki idei rolniczej; ale płeć rozsądna zwalcza przesądy. Dopóki jednak szlachta nie jest niczem więcej, jak tylko wygodnem narzędziem w rękach spekulantów, ci ją tolerują; z chwilą, gdy ubogi dyrektor sięgnął po rękę córki jednego spekulanta, który wydać ją chciał za drugiego, narzędzie staje się niewygodnem i trzeba się go pozbyć. Klugier, ojciec dziewczyny, nieprzebierający w środkach, oskarża Bolesława Prackiego o nadużycie władzy dyrektorskiej, twierdząc, iż tenże bez uchwały rady nadzorczej udzielił znacznej pożyczki swemu ojcu na niepewną hypotekę. Prezes rady nadzorczej, książę Radosław, który wbrew woli dyrektora dał polecenie udzielenia tej pożyczki, gdyż temi pieniędzmi miał stary Pracki spłacić dług, zaciągnięty jeszcze u matki księcia, wypiera się inicyatywy w tej sprawie i przyczynia się do zachwiania stanowiska dyrektora i odarcia go z czci. To jeden cios, który spada na szlachtę. Spada równocześnie i drugi, niemniej dotkliwy. Książę Radosław wciągnął do rady nadzorczej szwagra Prackiego, Karola, dlatego, ponieważ chciał nawiązać romans z jego małżonką. Podstępnie zwabił Annę do swej karety, a chociaż poniósł zupełną porażkę, dał powód do plotek. Nawiasowo zaznaczamy, że dramatyzowanie niezachowywania pozorów przez kobiety jest monetą przestarzałą, która mogłaby nareszcie wyjść z obiegu. Kluger, pragnący, że się tak wyrazimy, zdetonować obrońców dyrektora, otwiera oczy Karolowi na stosunek jego żony do księcia. Karol ucieka do Rzymu, gdyż lęka się, aby księcia nie zabił, porzuca żonę, dziecko i szwagra, który wyzywa na pojedynek Radosława za uwiedzenie siostry. Książę odmawia satysfakcyi splamionemu dyrektorowi, sytuacya zaognia się, tem bardziej, że córka Klugiera postanowiła wbrew machinacyom ojca wyjść za Prackiego. Wynalazła ona w dodatku list księcia, zawierający żądanie, aby pożyczkę dla starego Prackiego wypłacono na jego ręce. Dyrektor oczyszcza się z zarzutu, książę daje mu satysfakcyę, ale przed strzałem rzuca mu się na szyję. Karol dowiaduje się od spowiednika księcia, iż ten nie uwiódł mu żony. Szlachta więc wychodzi obronną ręką z całej sprawy, lecz wraca na wieś i choć Ślizgalski do nowych interesów finansowych ją namawia, staje się mądrą po szkodzie. Spekulanci wreszcie przeprowadzają i likwidują dobra ogółu... przepraszam... banku i życie wraca na dawne tory, tylko niektórym osobom przybyły w ciągu fabuły dramatycznej żony, innym nawet dzieci.

Pyszne są typy Klugierów, Portweinów, Ślizgalskich! Jakże znakomicie jest skreślona scena kasyera Biedzińskiego z milionerem Portweinem! Natomiast nieproporcyonalnie słabo są rysowane postacie szlachty. Konstrukcya komedyi ma raczej charakter powieści, niż dzieła scenicznego. Połowa drugiego aktu, akt trzeci i czwarty są pod względem architektonicznym dobrze pomyślane; lecz akt piąty jest dolepkiem. Rozpoczyna się on od długiej ekspozycyi wtedy, kiedy akcya powinna lecieć już na łeb na szyję; męczy to widza i odbiera mu złudzenie. Również

dałyby się wyrzucić bez naruszenia organicznej całości sztuki niepraktykowane już dziś monologi, w których autor wypowiada się do dna z tego, co publiczność całkiem dokładnie wywnioskowała z poprzedzającej akcyi. Wypada nam także zwrócić uwagę na pewien lapsus. Rozwiązanie konfliktu między pozornie zdradzonym mężem a niedbającą dostatecznie o pozory żoną oparł autor na relacyi spowiednika księcia. Zapomniał chyba autor o tajemnicy spowiedzi, a dla przedstawienia podobnych pogwałceń musiałby chyba osobną sztukę napisać; gdyby zaś w mniemaniu rzekomo zdradzonego męża pogwałcenie tak poważnej rzeczy było ze względów utylitarnych rzeczą błahą, to jeżeli mąż taki ma choć odrobinę logiki, nie może brać poważnie relacyj podobnego spowiednika. Cały piąty akt uważamy wogóle za chybiony i sztuka zyskałaby znacznie, gdyby go może wcale nie było. Temat dałby się doskonale ująć w cztery akty. Jeżeliby autor pomiędzy pierwszem próbnem wystawieniem swej sztuki a następnem zechciał dokonać kilku śmiałych cięć, utwór jego zyskałby organicznie i przemawiałby do nas silniej jako obraz naszych stosunków, niż wątpliwie wierne obrazy mało znanych nam sfer jeszcze mniej znanych ludów, o których więcej wiemy, jak się ubierają, niż jak żyją, myślą i czują.

Andrzej Niemojewski.

WACŁAW POMIAN.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Zmarł niedawno za granicą Jan Komierowski, poeta, piszący pod pseudonimem Wacława Pomiana. Jeżeli talent jego był bryłką szczerego metalu, to go rozdrobnił na tak nikłe pyłki, że żaden z nich nie potrafi zaciężyć i odcisnąć się na pamięci ludzkiej. W poezyi jego z życia było nie to, co jest jego głębią i falą, ale to, co jest jego powierzchnią i pianką. W tej piance jednak często ślicznie załamywały się promienie słoneczne. Na krótki czas przed śmiercią wydał zbiorek sonetów p. t. „Sonata wiosenna," który bardziej zazieleni mu mogiłę, niż wszystkie inne utwory jego razem wzięte. Jest ogromny smutek w zestawieniu tych kilku pachnących kwiatów, wyhodowanych w cieplarni miłości, z zimnem i stęchlizną śmierci. Myślał także przed śmiercią o zogniskowaniu swoich zdolności w jedno większe dzieło i rozpoczął poemat, oparty na mytach greckich p. t. „Herkules i Omfalia," ale go nie ukończył. Jako człowieka żałują go rozmaici bliżsi i dalsi, ale gdyby wszystkie jego niewcielone pomysły nagle dostały głos i mowę, to pewno zapłakałyby po nim najszczerzej.

wł. ster.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

DLA MŁODZIEŻY przybyło znowu kilka książek pożytecznych, przeznaczonych na podarki gwiazdkowe.

— Znany popularyzator i pisarz ludowy, M. Brzeziński, wydał „opowiadania Janka" p. t. „Moje wakacye na wsi" (168 str.) z ilustracyami.

— W wydawnictwie „Tanie książeczki dla młodzieży" Rządzewskiej i Lisowskiej wyszły: Teresy Jadwigi: „Burza," obrazek z dziejów Lwowa (85 str.) z rycinami, oraz „Dwaj mistrze" (Chopin i Moniuszko) z portretami (44 str.).

— Z. Bukowiecka. „Dzieci Warszawy" (359 str.). Gebethner i Wolff.

ILUSTRACYE. K. Woźniak: „Kraj w obrazach," zeszyt 6.

POEZYA. E. Słoński: „Dla mojej pani" (20 str.).

ENCYKLOPEDYI powszechnej Orgelbranda wyszedł zeszyt 7.



Z NIEMIEC.

Berlin, 8 grudnia.

Światło statystyki. — Przemiana ekonomiczna. — Samodzielność kobiet. — Śmierć krów chudych we wnętrzu tłustych.— Rozwój wielkiego przemysłu. — Niespodziewane zjawiska w rolnictwie.

Położenie statystyki w życiu społecznem Niemiec niejednego zwolennika frazesu o „bankructwie wiedzy" mogłoby przekonać o tem, iż uczeni nie są pasorzytami, ssącymi z palca wnioski, które ani chłodzą, ani grzeją większości społeczeństwa. Trzeba tylko zobaczyć, jak prasa, parlament i rząd powołują się ciągle na rezultaty spisu ludności z roku 1895, opracowane i zanalizowane do mikroskopijnych subtelności przez cały sztab statystyków urzędowych. Misterność tej pracy, bystrość spostrzeżeń, umiejętność wyzyskania najbardziej odosobnionych faktów, a przedewszystkiem gorliwe składanie hołdu prawdzie, ujawnione w tej pracy, budzą prawdziwy podziw dla urzędowych przedstawicieli nauki. Pozostający na żołdzie statystycy z sumiennością, przynoszącą im zaszczyt, nie wahali się nawet odsłonić szeregu smutnych zjawisk społecznych, które z pewnością ten lub ów mąż stanu chętnie zasmarowałby tuszem frazesów. Wszak Bismarck zmusił izby handlowe, aby oddawały pod jego cenzurę swe sprawozdania roczne dla łaskawego wykreślenia danych, niebędących mu na rękę ze względu na głoszone przezeń teorye protekcyonizmu celnego. Tylko dzięki doskonałości metody i filozoficznemu traktowaniu rzeczy, rezultaty badań urzędowych rzucają światło na jedno z najważniejszych zagadnień nauki społecznej: jaka jest istota współczesnego rozwoju ekonomicznego? Dwa centralne biura statystyczne, obrabiające wspomniany wyżej materyał, ogłaszają swe wyniki stopniowo, tak iż dziś trudno powiązać w jedną całość rozćwiertowane członki rozwoju organizmu społecznego. Można atoli już w ogólnych zarysach zaznaczyć dążność ewolucyjną w dziedzinie ekonomicznej, mając oczywiście zawsze na myśli Niemcy. Rzeczy te, z wyjątkiem pysznego rusztowania statystycznego, nie są nowe. Już niejeden myśliciel nakreślił drogę, jaką pójdą społeczeństwa współczesne. Twierdzenia te poddawali w wątpliwość krótkowzroczni praktycy lub zarozumiali mężowie stanu, co mieli przed oczyma społeczeństwo tylko tego okresu, kiedy oni byli w posiadaniu tek ministeryalnych. Nad przyszłością wogóle i żelazną siłą praw rozwoju społecznego nikt z nich nie suszył sobie głowy, a nawet uchodziło za dowód dobrego tonu wyśmiewać te wrzekomo doktrynerskie mędrkowania. Dziś samo cesarskie biuro statystyczne musiało uchylić czoła przed słusznością wyroków nauki.

Pierwszy fakt, stwierdzony przez spis ludności, dotyczy podstawy istnienia całego społeczeństwa niemieckiego. Okazuje się, że Niemcy z państwa rolnego przeistoczyły się od niedawna na kraj przemysłowy. Z 1,000 osób, trudniących się pracą materyalną, 413 poświęca się rolnictwu, a 587 pracuje w sferze przemysłu i handlu. Przechylenie się wagi na stronę przemysłu nastąpiło zaledwie od jakichś lat piętnastu. Podczas gdy w r. 1882 na 1,000 mieszkańców 425 utrzymywało się z pracy rolnej, dziś czyni to tylko 357. Ten fakt ogólny daje nam klucz do zrozumienia gorliwości zabiegów rządu około sprawy traktatów handlowych. To również tłomaczy nam, dlaczego, jak wykazują ekonomiści niemieccy, większa część źródeł finansowych bije w miastach, gdzie ogniskuje się przemysł. Jak przed miesiącem dowiódł monachijski prof. Brentano, nawet przeważna część „żeru armatniego" pochodzi z wielkich siedlisk ludzkich. Dotychczas bowiem zachowawcy przypominali aż do obrzydzenia, że wieś i rolnictwo są owym Atlasem, co trzyma na barkach swych cały gmach rządowy, że junkrzy swym groszem wdowim i krwią bronią ojczyzny. Statystyka urzędowa zadała raz na zawsze kłam tym frazesom i wytrąca z rąk junkrów oręż, nieprzysługujący im w pojedynku społecznym z mieszczaństwem. Jakież zjawiska — nasuwa się pytanie — towarzyszyły temu przejściu berła wpływów ekonomicznych do przemysłu? Naprzód kobieta bierze rozbrat ze swą tradycyjną misyą krzątania się około gospodarstwa w zaciszu domowem. Od r. 1882 ilość niewiast pracujących w przemyśle powiększyła się o milion, tak iż dzisiaj w szeregach producentów napotykamy w Niemczech prawie 6 milionów kobiet, tj. na 70 mężczyzn prawie 16 niewiast. W handlu napływ ich wzrasta coraz silniej. Podczas gdy armia mężczyzn handlowców od r. 1882 zwiększyła się o 50%, szeregi kobiece pomnożyły się w dwójnasób. Bądź co bądź, cyfry to są wymowną ilustracyą dążeń emancypacyjnych, które nurtują duszę współczesnej białogłowy. Mamy tu dowody niezbite, jak okoliczności pchają coraz natarczywiej kobietę na drogę samodzielności. To samo da się powiedzieć o młodzieży niepełnoletniej. Wir życia przemysłowego wciąga coraz większe masy podrostków i podlotków. Sielanka wieku dziecinnego kończy się w tych wypadkach z 14 ym rokiem życia, kiedy się kończy wykształcenie w szkole elementarnej. Lecz statystyka urzędowa nasuwa nam inne wnioski daleko wznioślejszej natury, bo opowiadające o zgrozie wstrząśnień, którym uległo życie ekonomiczne Niemiec. Cyfry mówią nam jako o fakcie, a nie jako o legendzie, wymyślonej przez nieprawowiernych wichrzycieli, iż rozkwit przemysłu dziesiątknie obóz samodzielnych jego przedstawicieli, że tłuste krowy fabrykacyi pożerają chude ze sfery rzemiosła; dzieje się tu inaczej, niż w świecie sennych marzeń Faraona, gdyż po tuszy tłustych krów można poznać zgon ich towarzyszek. W Prusiech np. od roku 1882 ilość zakładów wytwórczych zmalała o 5%, podczas gdy masa ludności przemysłowej wzrosła o 35%. Cyfry te dowodzą najwyraźniej, iż zwiększenie działalności przemysłu jest połączone z zanikiem zakładów drobnych. Ludność rzemieślnicza, wywłaszczona ze swych narzędzi produkcyi, zaciąga się do armii najmickiej. Pod względem ekonomicznym krok ten oznacza często polepszenie warunków bytu dla byłego majstra rzemieślniczego, jest jednak przewrotem w jego położeniu społecznem, gdyż musi on raz na zawsze zrezygnować ze stanowiska samodzielnego wytwórcy towarów.

Że skala produkcyi uległa zmianie, świadczy następujące zestawienie statystyczne. Od 1882 r. znikło z oblicza ziemi niemieckiej 6% warsztatów bez czeladników, natomiast grono zakładów, prowadzonych za pomocą najmitów, nabrzmiało o 24%, przyczem personel robotniczy w tych fabrykach powiększył się aż o 51%. Możemy więc stwierdzić w Niemczech następujące przemieszczenie grup przemysłowych: rolnictwo i rzemiosło kurczą się stosunkowo i po części bankrutują, powstałą zaś wskutek tego lukę zapeł-

nia fabrykacya. Oczywiście wstępująca w szranki pracy społecznej ludność zastosowywa się do tego przewrotu: z 1,7 mil. osób, które w przeciągu ostatnich 15 lat wystąpiły na pole przemysłu, 250 tys. skierowało się ku drobnym zakładom, a reszta zaciągnęła się do ordynku wielkiego przemysłu. Rzuciwszy na podstawie tych danych wzrok wstecz, możemy stanowczo orzec, iż coraz większy ułamek ludności pracuje w roli najmitów pod kierownictwem tych, co w rękach swych ześrodkowali narzędzia produkcyi. Dziś przeszło $^3/_4$ wytwarza towary pod cudzą kontrolą i pod zarządem sterników przemysłu. Gdyby ewolucya nie zboczyła z dotychczasowej drogi, to prawdopodobnie stosunek ten zmieni się na gorsze. Oczywiście przepowiednie są ryzykowne ze względu na masę czynników, działających w złożonym organizmie społecznym. Już tylu innych wróżb zbankrutowało, iż trzeba w wypadkach tych zachować wielką ostrożność. To jedno możemy wszakże przyjąć jako pewnik, iż na obostrzenie walki pomiędzy junkierstwem a mieszczaństwem złożyły się dwie przyczyny: z jednej strony wpłynął tu wzrost roszczeń junkierskich w myśl zasady: *l'appetit vient en mangeant*, z drugiej rozwielmożnienie się miast za sprawą przemysłu. Mieszczaństwo uświadamia sobie swą rolę w państwie i wskutek tego nie chce się dać prowadzić na pasku feodałom, apelującym nieustannie do szpargałów historycznych i chcących obcinać kupony z kapitału swych praprzodków.

Jak dalece należy strzedz się pośpiechu we wnioskach co do przyszłości, powinien nas nauczyć rozwój rolnictwa w Niemczech. Ci sami wróżbici naukowi, co przepowiedzieli ewolucyę przemysłu, rozciągnęli swe uogólnienia na rolnictwo, nie widząc racyi, dlaczegoby ta dziedzina miała odbiegać od ogólnej normy. Cyfry ostatniego spisu ludności były pod tym względem prawdziwą niespodzianką, gdyż przynajmniej w kilku punktach zasadniczych rozwój w tych dwu wielkich gałęziach życia ekonomicznego zdradza dążności rozbieżne. Mniejsza o to, iż obszar uprawny rozszerzył się absolutnie, aczkolwiek słabo; więcej bije w oczy fakt, iż sama ilość folwarków wzrosła o 5%. Lwia część tego wzrostu przypada na parcelacyę. Jeszcze więcej jednak uderza nas, iż w tej dziedzinie naodwrót karły rozmnażają się silniej od olbrzymów. Chłopi i wogóle drobni gospodarze dokonali w przeciągu ostatnich 15 lat zaborów na terytoryum rolnem, tak iż udział wielkich majątków spadł stanowczo. Oczywiście nie może być tu mowy o krzywdzie wielkiej własności ziemskiej, gdyż jakkolwiek stanowi ona [illegible] wszystkich gospodarstw, zajmuje czwartą część obszaru rolnego; zwłaszcza zaś, jeśli się zwrócić do oddzielnych krajów niemieckich, to obraz ten zmieni się na niekorzyść małorolnych, boć np. na Pomorzu 55% ziemi znajduje się w ręku junkrów, a w Meklemburgii nawet 60%. W artykule o gospodarce junkierskiej wykazaliśmy, iż magnaterya pruska wrzyna się coraz głębiej w terytoryum chłopskie za pomocą forteli obmyślonych przez Bismarcka. Jeśli jednak rozpatrywać Niemcy jako całość, to cyfry uprawniają nas do twierdzenia, iż wbrew subhastacyom, upadkowi rolnictwa i ogólnemu przygnębieniu tej dziedziny ekonomicznej, skala produkcyi nie posunęła się naprzód, a przynajmniej ustosunkowanie pomiędzy wielką i małą gospodarką nie uległo zmianie. Trudno doprawdy w łamach artykułu wskazać, jak doniosłe znaczenie posiada dla społecznego życia wskazane zjawisko. Każdy działacz społeczny, każdy twórca reform musi się liczyć z tym faktem, iż pomimo że wszelkie klęski zwaliły się na rolnika, a nad głową jego groży się huragan przesilenia, wielka produkcya w rolnictwie niemieckiem nie bierze bynajmniej góry nad drobną, jak należałoby się spodziewać i jak niegdyś przypuszczano. Z jakimś uporem i godną podziwu wytrwałością wielka masa ludności — wprawdzie coraz mniejsza w stosunku do zastępów przemysłowych — trzyma się swego szmata ziemi i nie ustępuje ze swej placówki, chociażby miała swe przywiązanie do matki rodzicielki okupić obniżeniem swej stopy życiowej. Jak wytłomaczyć to zjawisko, kwestya inna i o ile śmiem przypuszczać — nawet niewytłomaczona. Fakt pozostaje atoli faktem.

H. F.



O PRAWDĘ.

Odbieramy list następujący:

Zarząd żyrardowskich zakładów fabrycznych stwierdził godny pożałowania fakt, że w ostatnich miesiącach w rozmaitych organach naszej prasy krajowej pojawiły się korespondencye, tyczące się stosunków i instytucyj fabrycznych, pisane w duchu dla zarządu nieprzyjaznym. Zarząd bynajmniej w polemikę wdawać się nie myśli. Bezstronni czytelnicy i bez komentarza strony drugiej niezawodnie odnieśli wrażenie, że korespondencye wzmiankowane pochodzą ze źródeł mniej lub więcej podejrzanej wartości, a zwłaszcza korespondecya, tycząca się tutejszej ochrony, drukowana w swoim czasie w *Prawdzie*, od początku do końca nosiła piętno osobistej zemsty; korespondencye te opierają się po części na nieprawdzie, po części na fałszywych danych, ponieważ jednak zupełnie fałszywe dane tyczące się tutejszych szkół i ochrony, coraz częściej pojawiają się w tutejszej prasie, jak tego dowodem jest nr. 263 *Gazety Polskiej* i nr. 47 *Głosu*, zarząd więc uważa za swój obowiązek w imię i ku obronie prawdy podać do wiadomości następujące dane.

Żyrardowskie zakłady fabryczne, które zatrudniają 8,500 robotników, a nie 12,000, jak to mylnie podanem było, utrzymują swoim kosztem 25 szkół fabrycznych z kursem szkół elementarnych, do których uczęszcza 2,326 dzieci. Z tej liczby przypada na oddział przygotowawczy 1,161 dzieci, na oddział I-szy 658, na oddział II-gi 355, a na III-ci 152. Dzieci z oddziałów I-go, II-go i III-go uczęszczają na lekcye od 9 do 12 godziny rano, a druga połowa od 2 do 4 po południu, dzieci zaś, uczęszczające do oddziałów przygotowawczych, dzielą się na dwie połowy, z których jedna uczęszcza na lekcye od godziny 9 do 12 rano, a druga połowa od 2 do 5 po południu. Dzieci z oddziałów I-go, II-go, III-go, jako już starsze, mają pięć godzin wykładu, a dzieci z oddziałów przygotowawczych, jako młodsze, rozpoczynające dopiero naukę, ze względów pedagogicznych mają dziennie tylko trzy godziny wykładu. Nauczyciele i nauczycielki I-go, II-go i III-go oddziałów w szkole zajęci są tylko przez godzin 5, nauczyciele zaś i nauczycielki z oddziałów przygotowawczych mają 6 godzin wykładowych dziennie. Wykładający w oddziałach przygotowawczych przed południem mają w szkole jedną partyę, składającą się z 60 do 65, a po południu drugą również z 60 do 65 dzieci się składającą, tym sposobem każdy wykładający w tych oddziałach ma w dzienniku swoim 120 dzieci, lecz jednocześnie w szkole zawsze tylko 60 do 65, co piszący korespondencye wiedział, lecz umyślnie pokrył milczeniem.

Miesięczna pensya nauczycieli wynosi 45 do 50 rs., a nauczycielek 33 do 38 rs., zależnie od tego, czy wykład trwa 5, albo 6 godzin dziennie. Prócz tego każdy nauczyciel lub nauczycielka otrzymuje odpowiednie mieszkanie z opałem i gratyfikacyą na Boże Narodzenie, równającą się jednomiesięcznej pensyi. Liczba kandydatów i kandydatek, ubiegających się o miejsca nauczycielek w Żyrardowie, zawsze była bardzo znaczna.

W ochronie znajduje się obecnie w 15 klasach 927 dzieci, nie z górą 2,000, jak wzmiankowane wyżej korespondencye twierdzą. Personel stanowi: przełożona ochronki, pomocnica jej, 15 nauczycielek-freblówek, 20 pomocnic, 9 nauczycielek do robót ręcznych i dwie praktykantki. Prócz tego 548 starszych dziewcząt pobiera w ochronie naukę robót ręcznych. Dzieci w ochronie spędzają czas od 9 do 12 godziny rano i od $1\frac{1}{2}$, albo 2 godziny do $5\frac{1}{2}$, albo 6 godziny po południu; w tym czasie dzieci od $1\frac{1}{2}$, albo 2 godziny do $3\frac{1}{2}$, albo 4 godz. śpią tak, że nauczycielki dziennie 5 do $5\frac{1}{2}$ godzin są zajęte w szkole.

Tym sposobem ogólna liczba dzieci uczęszczających do szkół i do ochrony w Żyrardowie wynosi 3,250, a w liczbie tej nie są liczone dziewczęta, uczące się robót ręcznych. Koszty utrzymania tych zakładów stanowią rocznie sumę 45,000 rs. Zarząd jeszcze nadmienia, że zatwierdzony przez dyrekcyę naukową warszawską na godność dozorcy (Smotritiel) żyrardowskich szkół p. E. skończył uniwersytet krajowy ze stopniem kandydata i że go żadne węzły pokrewieństwa nie łączą z członkami Zarządu.

Podobnież przełożona ochronki jest rosyjską poddaną, a nie pruską, włada najzupełniej językiem polskim i przed objęciem posady w Żyrardowie kierowała zakładem freblowskim w Kaliszu i na tem stanowisku zjednała sobie powszechne uznanie.

Nakoniec Zarząd ubolewa nad tem, że wzmiankowane wyżej złośliwe napaści, oparte na nieprawdziwych lub umyślnie sfałszowanych danych, tylko ujemny wpływ wywrzeć mogą na dalszy pomyślny rozwój wzmiankowanych instytucyj, jak niemniej na dobre chęci względem takowych ze strony Zarządu, a przedewszystkiem prezydującego w Zarządzie p. Karola Ditricha. Dotąd rok rocznie liczba szkół i oddziałów w ochronie się powiększała. Wzmiankowane powyżej wypadki mogą sprowadzić rezultaty wprost odmienne od tych, które piszący takowe prawdopodobnie mieli na myśli *).

Na powyższy wywód autor artykułu, zamieszczonego w *Prawdzie*, oświadcza:

Zarząd zakładów żyrardowskich w odpowiedzi powyższej nietylko zasadniczych zarzutów naszych nie odparł, ale swoją obroną sam się oskarżył. Przedewszystkiem musimy sprostować kilka jego wniosków i wyświetleń: 1) Nie zamieszczaliśmy żadnej korespondencyi z Żyrardowa, lecz artykuł redakcyjny, oparty na danych, pochodzących nie „ze źródeł mniej lub więcej podejrzanej wartości," lecz *bardzo pewnych* i oddawna dobrze nam znanych. 2) „Znaczna" liczba kandydatów i kandydatek, ubiegających się o miejsca nauczycielskie w Żyrardowie, bynajmniej nie świadczy, że te miejsca są ponętne. Ludzie w pogoni za kawałkiem chleba często poddają się poniewierce i podeptaniu własnej godności. 3) Skończenie uniwersytetu nie daje jeszcze *dobrego wychowania*. Rzecznik gospodarki i etyki żyrardowskiej wspomina o jakiejś „zemście osobistej." A więc zarząd musiał widocznie dać sporo powodów do zemsty, skoro jest trapiony jej widmem na każdym kroku, a nawet w naszym artykule... Dodaję, że ci liczni, niezależni, niezinteresowani, bezstronni ludzie, którzy nam materyału dostarczyli, nie mają najmniejszych pobudek do zemsty, dopatrywanej przez zarząd fabryk żyrardowskich. Dzieje się tam bardzo źle, a dzieje się tak w znacznej mierze dlatego, że zarząd działa wbrew dobrym chęciom, woli i czynom p. Karola Diettricha.

W DALI.



Z pow. Mazowieckiego. Korespondent *Wieku* podaje smutne szczegóły o rozwoju gromadnego złodziejstwa, które jest klęską ekonomiczną i moralną dla ludności wiejskiej pow. Mazowieckiego. Bandy są złożone z włościan, Żydów i Cyganów, a warunkami sprzyjającymi rabunkowi jest sąsiedztwo granicy. „Z patentowa-

*) Nie odpowiadamy za styl wywodu żyrardowskiego.

nymi złodziejami łączą się Cyganie, a nie zajmując się żadnem dozwolonem zajęciem, całymi tygodniami obozują w lasach, wyłudzają żywność dla siebie i swoich koni prośbą i groźbą, i daleko im lepiej, niż tym, co cały rok ciężko pracują. Każdy, nawet najbiedniejszy, składa im daninę, bo jest przekonany, że jeżeli nie złoży dobrowolnie, to mu sami zabiorą. Ze stogów dworskich kradną siano, koniczynę, a służbie dworskiej grożą pozbawieniem życia. Niczem nie powstrzymane podejrzane jednostki, żyjąc z kradzieży i rozboju, dniami i nocami piją i publicznie chwalą się, że lepszego rzemiosła nad to, które prowadzą, niema. W celu obmyślenia planu jakiegoś rabunku, zbierają się całemi gromadami w lesie i biwakują, ale do nich obawia się zbliżyć miejscowa straż leśna, bo wszyscy zaopatrzeni są w broń palną. Jeżeli się zaś rabunek powiódł, to zaraz wiadomo wielu ich było, gdzie byli, jaką korzyść osiągnęli, albowiem nie potrzebują się z tem ukrywać, utrzymując w wielkim strachu mieszkańców, którzy z całą akuratnością składają im podatek, i jeżeli ktoś zechce wyłamać się od daniny, to niezadługo giną mu owce, bydło, świnie, konie, a pozostaje obawa podpalenia i utraty życia. Wolą więc dobrowolnie opłacać się; a nawet najspokojniejsi mieszkańcy zmuszeni są pomagać złodziejom, mówiąc sobie: „Pan Bóg wysoko, sprawiedliwość daleko, a złodziej blizko."

Łódź. Od 1 stycznia r. p. zaczyna obowiązywać nowe prawo, normujące dzień roboczy w fabrykach i zakładach przemysłowych. W łódzkich dla robotników, pracujących wyłącznie w porze dziennej, długość dnia obliczono na 11½ godzin; w soboty zaś i wigilie: Nowego Roku, Trzech Króli, Zwiastowania, Wniebowzięcia i Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Wniebowstąpienia Pańskiego i w Wielki Czwartek na 10 godzin; w wigilię Bożego Narodzenia tylko do południa. Roboty zaczynać się będę o 6½ rano i trwać do 7 wieczorem, z przerwą jednogodzinną w porze obiadowej, od 12 do 1-ej. W razach wyjątkowych praca może być przedłużoną i po za normę dnia roboczego, lecz za osobnem wynagrodzeniem, w stosunku półtora raza płacy zwykłej, przypadającej za godziny normalnego dnia roboczego. Roboty nadetatowe, nieobowiązujące robotników, mogą być prowadzone jedynie za ich dobrowolną zgodą, przyczem ogólna liczba godzin takiej pracy nie może przewyższać 120 w ciągu całego roku. — Adwokaci łódzcy przy zjeździe sędziów pokoju polecili p. Bernardowi Krakowskiemu opracowanie projektu ukrócenia szkodliwej działalności doradców pokątnych, strasznie rozpanoszonych w Łodzi. Główne punkty projektu zalecają, aby sędziowie pokoju, ściśle stosując się do ustaw sądowych, osobom prywatnym tylko w trzech sprawach do roku pozwalali stawać w charakterze obrońców.— *Tydzień* piotrkowski pisze: Huta Bankowa zakupiła w Noworadomsku wszystkie place z domami drewnianymi w okolicach stacyi, fabrykę Ruziewicza za 140,000 rs. i posesyę dr. Kolskiego za 32,000 rs. Na przestrzeniach nabytych przez Hutę mają być założone wielkie zakłady metalurgiczne, ludwisiarnie, pudlingarnie i warsztaty wagonów, zatrudniające ogółem przeszło 4,000 robotników. Za drobne posesye, kupione przed rokiem po 6,000—8,000 rs., płacono obecnie od 16,000—18,000 rs.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych złożyło władzy wyższej opracowaną przez siebie ustawę warszawskiego Towarzystwa handlowców z solidarnem poręczeniem. Celem projektowanej instytucyi jest: 1) staranie się dla członków w całem państwie o miejsca: kasyerów, kantorzystów, buchhalterów itp. w zakładach prywatnych i rządowych z majątkowem poręczeniem za osoby rekomendowane: 2) spełnianie na zlecenie zarządów kolejowych i innych instytucyj transportowania towarów, utrzymywania na składzie bagażów, inkasowania należności itp. Projekt ustawy podpisany przez pp.: Ryszarda Machleida, Ludwika Grendyszyńskiego, Wojciecha Michalewskiego, Aleksandra Bajera i Ignacego Mąkowskiego, odesłano do oceny władzy miejskiej i policyjnej.

Szkoły. Według orzeczenia ministeryum oświaty, wpisowe, opłacone przez uczniów szkół średnich, powinno być uwzględniane w razie przejścia ucznia z jednego zakładu naukowego, tj. gimnazyum, szkoły realnej itd., do szkoły technicznej średniej.

— Ministeryum wyjaśnia, iż urządzanie kursów niedzielnych i wieczornych dla robotników w gmachach szkolnych oraz urządzanie kursów pedagogicznych krótkoterminowych zależy wyłącznie od uznania kuratorów okręgów naukowych.

Tematy historyczne. Cesarska akademia nauk ogłosiła tematy do t. zw. nagrody Uwarowa. Jest ich ogółem sześć; wszystkie mniej więcej nas dotyczą: 1) historya księstw staro-ruskich, przy- [redacted] autorom możność wyboru epoki i księstwa, nie wyłączając litewsko-ruskich dynastyj Gedymina; 2) „O stosunkach historycznych narodu i państwa polskiego do plemienia rosyjskiego." Pod stosunkami historycznymi należy tutaj pojmować nie wyłącznie wojny i stosunki dyplomatyczne Polski i Rosyi, lecz dzieła literackie, prawne i kościelne, szczególnie Wielkiego Księstwa Litewskiego, w których odzwierciedla się walka żywiołu polskiego i rosyjskiego; 3) przegląd historyczno-literacki drukowanych utworów polemicznych, artykułów i broszur, wydanych przez Rosyan w krajach północno i południowo-zachodnich od XVI do XVII w.: 4) historya żeglugi morskiej narodów słowiańskich do XIII w.; 5) komentarze do traktatów w. książąt kijowskich z cesarstwem bizantyjskiem; 6) komentarze do opisu Słowian X w. przez Żyda Ibrahima Ibn-Jakuba.

Czytelnie. D. 3 b. m. w osadzie Złoczewie w gub. Kaliskiej otwarto czytelnię ludową przy urzędzie gminnym. Zaraz w pierwszym dniu włościanie wypożyczyli 103 książki polskie i 8 rosyjskich.

— *Kuryer Warsz.* pisze: „Wiele czytelni bezpłatnych, istniejących pod egidą Towarzystwa dobroczynności, podczas długich obecnie wieczorów, nie może wydołać żądaniom. Zwolenników czytania jest tak wielu, iż z braku książek wolnych znaczna część kandydatów odchodzi z niczem. Wielu też robotników i rzemieślników starszych wiekiem, nie mogąc otrzymać dzieła dla siebie odpowiedniego, bierze do czytania stare kalendarze lub nawet książki dla dzieci."

Szkoła rolna. Na grudniowem posiedzeniu w poniedziałek ubiegły poruszono kilka spraw bardzo ważnych: Z powodu zjazdu hodowców owiec w Moskwie, jeden z przedstawicieli tego wiecu, p. Radziszewski, zdał sprawę z wniosków i uchwał, dotyczących wywozu owiec do Francyi. Specyaliści przyszli do przekonania, że owce z Królestwa Polskiego, przy odpowiedniej organizacyi wywozowej, miałyby odbyt na rynku paryskim. W dalszym ciągu wygłosili odczyty: p. Sikorski o przemyśle rybnym, p. A. Suligowski o ziemstwach, p. Sempołowski w sprawie urządzania stacyj pluwiometrycznych, wreszcie p. Leppert zastanawiał się nad potrzebą użycia uproszczonych narzędzi do oznaczenia wartości niektórych produktów rolnych.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych postanowił zawiesić drukowanie ogłoszeń prywatnych w gazecie *Peterb. Listok*.

— Pozwolono znowu drukować ogłoszenia prywatne w gazetach: *Mirowyje Otgołoski*, *Narod*, *Syn Otieczestwa* i *St. Peterb. Wied.*

— Zawieszono drukowanie ogłoszeń prywatnych w gazetach *Birż. Wied.* i *Ruskij Trud*; pierwszej — za zrobiony hr. Ridigierowi zarzut, jakoby uciskał lud w majątku swoim Dajlidy pod Białymstokiem, drugiemu — za podanie wiadomości o nieogłoszonym jeszcze zarysie budżetu na r. 1899.

— W Łodzi zaczął wychodzić nowy dziennik, *Rozwój*, pod redakcyą p. Wiktora Czajewskiego.

Konkurs. Komitet naukowy ministeryum komunikacyj ogłosił konkurs na opracowanie podręczników dla szkół przemysłowych.

Dobroczynność. Zarząd warszawskiego szpitala dla dzieci zwraca się do ogółu z prośbą o ofiary dla dziatwy, wychodzącej z zakładu leczniczego. Chodzi tu o zużyte niepotrzebne przedmioty, jak zabawki, ubranie, bieliznę itd.

— P. Hipolit Wawelberg przeznaczył 10,000 rs na czytelnie ludowe w Królestwie Polskiem.

Przemysł i handel. Towarzystwo rolnicze w Moskwie toczy obecnie układy z przedstawicielem kupiectwa paryskiego, p. Giliotem, w sprawie wywozu do Francyi żywych owiec. Dzienniki rosyjskie utrzymują, iż do związku wywozowego przyłączyli się już hodowcy polscy pp.: hr. Czacki, Ostrowski, hr. Poletyłło i Radziszewski, którzy otworzyć mają drugą, obok moskiewskiej, spółkę wywozową.

— W tych dniach odbyła się narada przedstawicieli wytwórców żelaza w Petersburgu. Roztrząsano sprawy celne, w obradach zaś uczestniczyli przedstawiciele fabryk północnych, południowych, polskich i okręgu moskiewskiego. Wszystkie okręgi, nie wyłączając Uralu, uchwaliły wyjednać utrzymanie taryfy celnej na żelazo, zatwierdzonej dnia 11 czerwca 1891 r., jeszcze na drugie 6-lecie, przyczem przedstawiciele okręgu moskiewskiego zachowali się biernie, uralskiego zaś postawili warunek wyjednania zarazem środków podźwignięcia zakładów tamtejszych.

— Zbiór praw ogłosił ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu we Włocławku.

— Wkrótce znajdą się w obiegu nowe banknoty państwowe 50 i 500-rublowe, a także 100-rublowe nowego wzoru. Pięciorublówki będą wycofane, z powodu puszczenia w obieg monety pięciorublowej złotej.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prawnikowi. Wywód Pański jest zasadny, ale w zatargu parlamentarnym wiedeńskim splotły się nietylko nici konstytucyjne, lecz także plemienne, o których zapomniano, a których my lekceważyć nie możemy. Nasz sprawozdawca polityczny jednak uwzględni list Pański.

Panu Stefanowi G. w Monachium. Artykuł postaramy się zużytkować, ale nie możemy odczytać nazwiska.

Panu T. J. w Lublinie. Wiersze Pańskie są słabe w obrazowaniu, rytmie, rymie, nawet w polskości (nie mówi się; „w pamięć," „malowano w tło ciemnym lazurem" itd.), ale ze względu na wiek Pański trudno przesądzać o przyszłości.

Panu K. w Bełchatowie. Za kwartał III i IV rs. 5.

Panu S. w Grabicy. Pism tom III-ci wyjdzie wkrótce. „Słownik geograficzny" jest własnością Kasy Mianowskiego, skład główny w księgarni E. Wendego. Drugie wydanie „Przysłów" Adalberga jeszcze nie wyszło.

Panu Wł. Saw. W wierszu Pańskim miejsce poezyi zastępują zwykłe szumne frazesy.

— Z początkiem r. p. wyjdzie z druku z zapomogi Kasy im. Mianowskiego **Poradnik dla samouków** (część I), opracowany przez grono specyalistów pod redakcyą: S. Dicksteina, J. Ejsmonda, St. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga.

Poradnik zawierać będzie wskazówki praktyczne dla samouków i wychowawców, z wymienieniem dzieł, polecconych do systematycznego czytania, poczynając od książek popularnych.

Na część I-szą złożyły się następujące prace: *Przedmowa.— Matematyka* (S. Dickstein). — *Wstęp do nauk przyrodniczych* (S. Kramsztyk). — *Nauki przyrodnicze wogólności. — Fizyka i mechanika* (W. Biernacki). — *Astronomia* (S. Kramsztyk).—*Chemia* (B. Znatowicz). — *Meteorologia* (S. Kramsztyk). — *Mineralogia i geologia* (J. Morozewicz). — *Botanika* (M. Heilpern).— *Zoologia* (J. Ejsmond). — *Atlasy przyrodnicze* (A. Ślósarski). — *Anatomia, fizyologia i hygiena* (M. Flaum). — *Nauki antropologiczne* (L. Krzywicki).—*Geografia* (An. Świętochowski i P. Sosnowski). — *Psychologia* (A. Mahrburg). — *Nauka wychowania* (S. Karpowicz). — *Dodatek zawierający bibliografię książek z zakresu zastosowań nauk przyrodniczych do życia praktycznego — Skorowidz* autorów dzieł wspomnianych.

Przedpłatę na książkę powyższą, objętości dwudziestu kilku arkuszy druku, nadsyłać można do Administracyi *Prawdy* Nowogrodzka nr. 39. Cena egzemplarza kop. 50, bez kosztów przesyłki.

Przeszło 100.000 artykułów. 6.000 rysunków, 60 map geograficznych.

Wydawnictwo NAJWYŻEJ Zatwierdzonego Towarzystwa S. Orgelbranda Synów.
Z dniem 1 Listopada r. b. rozpoczęła wychodzić
W NOWEM OPRACOWANIU

Przeszło 100.000 artykułów. 6.000 rysunków 60 map geograficznych.

S. Orgelbranda

ENCYKLOPEDYA POWSZECHNA

Z ILUSTRACYAMI I MAPAMI GEOGRAFICZNEMI.

Encyklopedya wychodzi zeszytami dwuarkuszowymi, co tydzień zeszyt.

Cena zeszytu w Warszawie **kop. 20,** *w Cesarstwie i na prowincyi* **kop. 24.**

Nadsyłający przedpłatę za 10 zeszytów wprost do Administracyi, kosztów przesyłki nie ponoszą.

Wysyłać można za zaliczeniem pocztowem.

ZESZYT kop. 20.

S. Orgelbranda Encyklopedyę 12 tomową dawną przy nabywaniu nowej przyjmujemy w cenie rs. 4.

Dzieło całe ukończone będzie w ciągu 4 do 5 lat.

ZESZYT kop. 20.

Dotąd opuściło prasę zeszytów 8, zawierające wyrazy od A do Analityczny, 176 rysunków i 3 karty geograficzne.

Prenumeratę przyjmują: Administracya Krakowskie-Przedmieście 66, oraz wszystkie księgarnie.

Nowi prenumeratorowie „Tygodnika ilustrowanego" od Nowego Roku 1898 otrzymują za nadesłaniem kop. 50 początek wielkiej powieści historycznej

Henryka Sienkiewicza

w Tygodniku ILUSTROWANYM



w Tygodniku ILUSTROWANYM.

„TYGODNIK" obejmuje w każdym numerze 4 arkusze tekstu i ilustracyj i arkusz powieści w bezpłatnym dodatku co tydzień.

Czytelnicy „TYGODNIKA" mają zatem prócz pisma objętości 20 wielkich stron druku i ilustracyj, oraz 4 kolumn okładki, **biblioteczkę powieściową** (52 arkusze druku rocznie). Przeszło 1,000 ilustracyj rocznie. W roku 1898 szereg artykułów, portretów i ilustracyj, związanych z imieniem Adama Mickiewicza. Z pośród wielu do druku przygotowanych prac wymienimy: *W. Gomulicki*: „Warszawianka," *Al. Kraushar*: „Pałace warszawskie z końca XVIII w.," *Z. Kowerska*: nowela „Z życia Jasia," *M. Rodziewiczówna*: obrazek „Skręt," *G. Zapolska*: „Siostrzyczki," *St. Żeromski*: „Cienie" — z ilustracyami Holewińskiego, Kamieńskiego, Sawiczewskiego, Szpądrowskiego i innych, a stale zasilać nas będą swymi utworami: M. Gawalewicz, Jordan, M. Konopnicka, E. Orzeszkowa, Bol. Prus, Wł. Reymont, Sewer, A. Szymański, K. Tetmajer i inni.

W r. p. damy **szereg obrazów historycznych** mistrzów naszych, oraz dla wszystkich prenumeratorów kolorową reprodukcyę obr. W. Wodzinowskiego **„Krakowskie wesele."**

Prenumerata **„Tygodnika ilustrowanego"** wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 2. Z przesyłką pocztową: kwartalnie rs 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12. — Nadsyłać prenumeratę najlepiej wprost do Redakcyi: **Warszawa, Krakowskie-Przedmieście nr. 17.** W razie życzenia za zaliczeniem.

Redaktor: **Dr. Jozef Wolff.** Wydawcy: **Gebethner i Wolff.**

Nakładem **P. v. Reussnera** wyszło z druku nowe dzieło ilustrowane p. t.:

Petöfi Aleksander, król poetów węgierskich w życiu i poezyi.

Petöfi Aleksander to węgierski Homer, węgierski Beranger, węgierski Schiller, węgierski Mickiewicz, nieśmiertelny wieszcz, bożyszcze narodu węgierskiego — to potęga, książę, król poetów madiarskich, którego pieśni oczarowały nietylko cały naród węgierski, ale cały świat cywilizowany i pozostaną wiecznym pomnikiem dla Węgier.

Cena 70 kop. (pocztą 85 k.), w ozdobnej oprawie 1 rs. 20 k. (pocztą 1 rs. 40 k.).

Skład główny u autora-wydawcy (Reussner) przy ul. Złotej № 6, w Warszawie. Do nabycia jest we wszystkich księgarniach.

JEDYNY I NAJTAŃSZY

polski organ, poświęcony praktycznym interesom czytelników

GAZETA LOSOWAŃ

umieszcza artykuły wstępne we wszystkich kwestyach ekonomicznych, korospondencye z Petersburga, Berlina, Paryża, Wiednia itd. **Informacye z pierwszego źródła.** Losowania papierów publicznych. Wskazówki praktyczne dla kapitalistów. Sprawozdanie z targów. **Kursy wszystkich papierów i akcyj. Ogłoszenia.**

Rocznie w Warszawie z przesyłką rs. 1. Na prowincyi rs. 2.

Krakowskie-Przedmieście nr. 53.

Prenumeratę na wszystkie pisma krajowe i zagraniczne przyjmuje księgarnia

W. MAKOWSKIEGO

w Wilnie.

Wielki wybór książek dziecinnych na gwiazdkę.

Ceny katalogowe.

W Y D A W N I C T W O

Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda

Pisma Bolesława Prusa

(Aleksandra Głowackiego)

opuściły prasę w taniem jubileuszowem wydaniu.

Cena 4 tomów broszurowanych rs. 1 kop. 40.

w oprawie rs. 2.

Skład główny u Gebethnera i Wolffa.

4 tomy Poezyi MICKIEWICZA

(NAJPEŁNIEJSZE WYDANIE WARSZAWSKIE)

BEZPŁATNIE

Dla wszystkich prenumeratorów **„KURYERA CODZIENNEGO."**

Warunki prenumeraty „Kuryera Codziennego" w Warszawie: miesięcznie kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 50, półrocznie rs. 3, rocznie rs. 6. Na prowincyi: miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.

Wobec wzrastającej poczytności niewątpliwa korzyść z ogłoszeń w Kuryerze.

Adres „Kuryera Codziennego" Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 17.

Spółka Nakładowa *poleca:*

Przygodę Jasia,

opowiadanie dla dzieci

z rysunkami *Antoniego Kamieńskiego* przez ***Elizę Orzeszkową.***

W ozdobnej oprawie cena kop. 50, na przesyłkę k. 14.

Do nabycia w administracyi Prawdy i we wszystkich księgarniach.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy":

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

z tekstem M. Konopnickiej, muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera 50 piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski

Дозволено Цензурою. [redacted] Декабря 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.